CENA 50 GR.

NARÓD i PAŃSTWO
TYGODNIK

ROK IV. WARSZAWA, 15 Marca 1939 R. NR 9-10

Po zamknięciu numeru

W nowym etapie historii

Na południe od naszych granic rozgrywają się wypadki, których doniosłość dla nas zdaje się przekraczać wszystko, czego świadkami i uczestnikami byliśmy od chwili zakreślenia naszych granic państwowych. W wypadkach tych realizuje się jeden z zasadniczych i szczególnie ważnych celów naszej polityki państwowej — wspólna granica z Węgrami. Równocześnie jednak następuje takie rozszerzenie sfery niemieckiej władzy i niemieckiego wpływu, które stwarza zupełnie nową sytuację zarówno Polski jak Europy. To musimy sobie powiedzieć jasno.

Już sama skuteczna interwencja Kanclerza Hitlera w sprawy czesko-słowackie z przed kilku dni miała charakter zupełnie odrębny, aniżeli wszystkie uprzednie posunięcia, których wyrazem był Anschluss, czy załatwienie sprawy sudeckiej. Tamto były — uzasadnione z punktu widzenia doktryny narodowej — etapy zbierania ziemi niemieckiej czy niemieckiego narodu. Interwencja w sprawy słowackie miała już inny charakter. Była to — jeśli przyjmiemy narzucające się w tym wypadku kategorie określeń z innej epoki — próba interwencji Cesarza Rzymskiego, jako suwerena, w stosunki wasalnych sąsiadów. Tego rodzaju tendencje niejednokrotnie doprowadzały w przeszłości do długotrwałych i przeważnie zwycięskich dla nas zatargów zbrojnych między Niemcami i Polską.

Wypadki dwóch dni następnych: sprzeczna z głoszonymi dotychczas zasadami ideologii narodowo-socjalistycznej i z wszystkimi oświadczeniami Kanclerza Hitlera wymuszona inkorporacja Czech, nieposzanowanie przez wojska niemieckie granicy nowoutworzonego niepodległego państwa słowackiego w drugim dniu niepodległości tego państwa — dają wystarczająco jasny obraz sytuacji. Niegodny i tragiczny razem przykład Czech wymownie zaś świadczy, że czynnik, który w stosunku do Niemiec dzisiejszych pójdzie po linii jakichkolwiek rezygnacji ze swych praw i interesów, nie zdoła zatrzymać się na drodze ustępstw nawet przed ostateczną kapitulacją.

Wymowa tych faktów jest jasna. Naród Polski mógł być zaskoczony faktami, nie jest zaskoczony ich konsekwencją. Psychicznie byliśmy przygotowani na to, by w naszych warunkach geograficznych i politycznych stać się jednym wielkim obozem warownym. Dziś stan ten musi być realną prawdą naszego życia: prawdą najwyższą, której nikt i nic nam przesłonić nie może.

15.III.1939. REDAKCJA

19 - III - 1939

Przez szereg lat dzień 19 marca jednoczył myśli i serca Narodu u bram Belwederu. Był to dzień radości. Dzisiaj zwracają się one ku podziemnej krypcie Wawelu. Święto serdecznego skupienia uczuć stało się świętem wspomnień żałobnych.

Żałoba dnia tego nie może jednak mieć charakteru ani biernego, ani formalnego. Powrót do źródeł wielkości musi być nacechowany anteuszową troską o nabranie z tych źródeł nowych sił do walki o przyszłą lepszą i potężniejszą Polskę.

I stąd najwłaściwszą formą hołdu, stale zresztą w dniu 19 marca stosowaną przez Pana Prezydenta Ignacego Mościckiego, jest porównanie aktualnej rzeczywistości polskiej z wskazaniami życia i dzieła Józefa Piłsudskiego.

W roku bieżącym porównanie to może być szczególnie ważne. W okresie dużego przewartościowywania wartości, poddawania rewizji wielu osiągnięć programowych przeszłości, ustalania praktycznych wskazań w wielu dziedzinach, w których nie wystarczają już ogólne założenia teoretyczne — trzeba zachować wielką samowiedzę kierunku marszu, trzeba uniknąć często spotykanego i powtarzającego się zjawiska, że ktoś — niesiony prądem — nie jest zdolny do zdania sobie sprawy ani z kierunku, ani z celu ruchu, którego jest częścią. Wówczas decyduje nie wola, lecz przypadek. Przypadek zaś rzadko kiedy jest naprawdę dobrym przewodnikiem marszu.

W tego rodzaju warunkach nieocenioną pomocą dla tych, którzy chcą mieć świadomość celu dążeń kierowanych wolą, jest fakt, że w tak stosunkowo niedalekiej odległości czasu istnieje ten potężny drogowskaz, rzucający na naszą rzeczywistość wciąż jeszcze łatwo dostrzegalny i widoczny słup kierunkowych promieni, oświetlających drogi naszej teraźniejszości i przyszłości. Ludzie, którzy szczerze mienią się wyznawcami ideologii Marszałka Piłsudskiego, mają jeszcze stosunkowo łatwe zadanie, by w ważniejszych momen-

tach porównać zakres i kierunek swego działania z tym, co za Testament Marszałka może i powinno być uważane. Dotyczy to wszystkich dziedzin naszego życia.

*

W zakresie naszej polityki międzynarodowej testament ten nie budził nigdy wątpliwości. Nie chodzi tu, oczywiście, o szczegóły gry dyplomatycznej. Jednak zasadnicza linia, którą można by określić jako linię istotnej niezależności politycznej, przede wszystkim niezależności od sąsiadów, docenienia wagi sojuszów, przy równoczesnym trzeźwym oparciu się o dogmat, że niewolnikiem nie będzie tylko ten, kto podstawy swej wolności szuka przede wszystkim we własnej sile i zdecydowaniu, wreszcie poczucie wzrastającej siły i wzrastających zadań państwowych — wszystko to zdaje się być stale busolą polskiej polityki międzynarodowej. Oczywiście, przy prowadzeniu tej polityki pamiętać trzeba również i o tym, że rezultaty dotychczasowe tej polityki w dużej mierze były możliwe na skutek tego, że w roku 1933 był moment, w którym odpowiedzią na prowokacyjne posunięcia antypolskie było wprowadzenie dodatkowego żołnierza polskiego na Westerplatte, jako symbolu zdecydowania do użycia wszelkich środków dla obrony polskich interesów, gdziekolwiek mogłyby być zagrożone lub zlekceważone.

Tego rodzaju zdecydowanie jest częścią moralnego i politycznego testamentu Józefa Piłsudskiego. Musi być ono zawsze realnym uzupełnieniem wszelkich naszych posunięć politycznych na terenie międzynarodowym.

*

W zakresie spraw ustrojowych wykładnikiem jest tu Ustawa Konstytucyjna z dnia 23 kwietnia r. 1935, ostatni dokument urzędowy, noszący podpis Józefa Piłsudskiego. Ustawa ta jasno wykreśla konieczność szukania drogi pomiędzy siłą i wolnością tak, by Naród nie przestał być źródłem siły w Państwie, przy równoczesnym zabezpieczeniu Państwa przed ewentualnością anarchii, mogącej wyniknąć z niedostatecznej harmonii sił składowych, niezdolnych do zapewnienia Państwu jednolitości i siły. Ustawa ta — początkowo zwalczana przez niektóre ugrupowania bardzo silnie — dzisiaj jest już niejako wartością wspólną i uznaną. Walka toczy się około zagadnień realizacyjnych. Oceniając jej przebieg, można zaryzykować twierdzenie, iż jesteśmy na drodze do wytworzenia stanu faktycznego, który zabezpieczy Ustawę zarówno od ponownych zamachów na jej moc obowiązującą, jak też od zamachów, które — pozostawiwszy formę — odebrałyby samej ustawie jej treść wewnętrzną. Do najistotniejszych wyrazów tej treści należy sformułowany art. 5, 6 i 7 Ustawy, głoszące: „Państwo zapewnia obywatelom możność rozwoju ich wartości osobistych oraz wolność sumienia, słowa i zrzeszeń". „Granicą tych wolności jest dobro powszechne". „Obywatele winni są państwu wierność oraz rzetelne spełnianie nakładanych przez nie obowiązków". „Wartością wysiłku i zasług obywatela na rzecz dobra powszechnego mierzone będą jego uprawnienia do wpływania na sprawy publiczne". „Ani pochodzenie, ani wyznanie, ani płeć, ani narodowość nie mogą być powodem ograniczenia tych uprawnień".

*

W odniesieniu do tego ostatniego punktu, jasno to sobie powiedzieć należy, dziś jesteśmy na szczególnie niebezpiecznym zakręcie. Złożyły się na to warunki, których nie doceniać nie można. Stan sprawy żydowskiej w Europie, konieczność realnego i zasadniczego pomniejszenia wagi zagadnienia żydowskiego w Polsce, świadomość, że warunki aktualizacji tego zagadnienia przez posunięcia antysemickie w Niemczech są czynnikiem ułatwiającym postawienie tej sprawy, jako zagadnienia międzynarodowego, również i przez Polskę — są to wszystko momenty, które ułatwiają podkopy pod ten punkt naszej Ustawy Konstytucyjnej z dnia 23 kwietnia. Podobnie takie czy inne zadraźnienia sytuacji na odcinku naszej mniejszości ukraińskiej natychmiast znajdują swój wyraz w dążeniach do przekreślenia — formalnego lub faktycznego — tego istotnego punktu politycznego testamentu Józefa Piłsudskiego, zamkniętego w Ustawie Konstytucyjnej.

Nie chcemy tutaj podejmować dyskusji ani o istocie, ani o szczegółach tych zagadnień, przeprowadzanej na naszych łamach wielokrotnie. Chcemy podkreślić tylko jedno. Jest niebezpiecznym niezwykle uproszczeniem, jeśli ktoś chce w przytoczonym wyżej punkcie 2 art. 7 naszej „Ustawy Konstytucyjnej" widzieć wyraz teoretycznego liberalizmu, troski o cudze, niepolskie, interesy.

Punkt ten jest jednym z najistotniejszych, jeśli chodzi o testament myśli ideologicznej Józefa Piłsudskiego. Lecz Józef Piłsudski — szczególnie w ostatnim okresie swego życia — ani liberałem, ani doktrynerem nie był. Nie było w Polsce drugiego człowieka, który by miał takie poczucie potrzeby siły i taki wstręt do wszelkiej słabości. Lecz równocześnie Marszałek Piłsudski był wielkim realistą, nie doktrynerem, który skłonny jest sądzić, że wystarczy powziąć uchwałę, by pozbyć się realnie istniejącego zagadnienia.

Punkt 2 art. 7 w naszej Ustawie Konstytucyjnej nie jest wynikiem ani pomyłki czy niedopatrzenia, ani troski o inne, niżeli polskie, interesy: jest wyrazem głębokiej, niezmiernie dla Józefa Piłsudskiego charakterystycznej, niechęci do rozwiązań formalnych i nieistotnych, przy równoczesnym poczuciu, że jednym z najgorszych i najniebezpieczniejszych następstw kwestii mniejszości narodowych w Polsce byłby fakt, gdybyśmy cały nasz ustrój, naszą psychologię, nasze stosunki wewnętrzne naginali i wypaczali pod kątem obrony przed zagadnieniem mniejszości narodowych. Jest to zasadnicza różnica dwóch postaw psychicznych: z jednej strony postawy zdobywczej i ofensywnej, z drugiej — postawy obronnej i lękliwej, pragnącej szukać gwarancji nie w sile, lecz w ustawie.

Przy dzisiejszych dyskusjach, nawet wewnątrz Obozu ideologicznego, wywodzącego się z ducha i tradycji Józefa Piłsudskiego, trzeba w stosunku do tego punktu unikać ogromnej pomyłki, którą łatwo jest popełnić, jeśli się pozwoli sobie zapomnieć, że żaden naród źródła sił i energii nie znalazł nigdy ani w defensywie, ani w papierowym stosunku do realnie istniejących zagadnień, ani wreszcie w ograniczeniu pola widzenia przez zatracenie właściwej perspektywy i zdolności patrzenia na całość, nie na fragmenty, otaczających go zjawisk.

*

Papierowy stosunek do zagadnień był jednym z przejawów niezmiernie silnie i konsekwentnie zwalczanych przez Józefa Piłsudskiego.

Mając głęboką niechęć, przechodzącą w uczucie wstrętu, do wszystkiego, co nieistotne, co wypływa z formy, nie z treści zjawisk i praw je regulujących — zwalczał z całą pasją, posługując się metodą doprowadzenia zagadnień i dyskusji do absurdu, wszelki scholastycyzm, wszelki formalizm, zapominający o celu, któremu winien służyć. W znanym wywiadzie z dnia 22 września 1929 roku o świecie gasnącym najpiękniejsze słowa poświęcił właśnie rozróżnieniu pomiędzy formą i treścią, mówiąc:

> „Są światy gasnące i są wschodzące słońca. I jeżeli w dzieje ludzkości się spojrzy, znajdziemy zawsze, znajdziemy ciągle, wschodzące słońce i gasnące światy. I niemylną gaśnienia cechą jest wymieranie treści a wzrost znaczenia formy".

W naszych dzisiejszych dyskusjach i sporach słowa te powinniśmy mieć ze szczególną troskliwością na uwadze, aby nie dać się uwikłać w tego rodzaju rozstrząsania i formuły, w których forma przestaje służyć treści, uzyskując nad nią przewagę, stając się niejako treścią samą w sobie. Zatracenie zdolności samoobrony w tej dziedzinie musi prowadzić do następstw, o których pisał dalej Józef Piłsudski, że cechą ich jest „jak gdyby aberacja myślowa, jak gdyby wykoszlawienie duszy ludzkiej". Przed nami stoją zagadnienia niezmiernie realne i istotne, równocześnie trudne i odpowiedzialne. Nie można dopuścić do wytworzenia w społeczeństwie, szczególnie w jego kołach kierowniczych, psychologii wygodnej ucieczki przed realizmem i odpowiedzialnością rzeczywistości w dziedzinie mniej czy bardziej teoretycznych czy scholastycznych sporów. Nie można dopuścić do rozkrzewienia w Polsce przewagi zainteresowania formą, przy zlekceważeniu treści, którą jest siła Państwa i zdrowie moralne Narodu. I tutaj słowa, że „niemylną gaśnienia cechą jest wymieranie treści a wzrost

znaczenia formy" winny być dla nas wysoce cenną i zawsze pamiętną przestrogą.

*

W dzisiejszej naszej sytuacji politycznej wewnętrznej posiadamy dużą wartość w postaci zdecydowanej i określonej większości w izbach parlamentarnych. W dzisiejszych dyskusjach teoretycznych na tematy naszego ustroju, naszego parlamentaryzmu, dróg naszej przyszłości skłonni jesteśmy do poważnego niedoceniania tej tak bardzo istotnej i tak bardzo zabezpieczającej od potrzeby ustrojowego eksperymentowania wartości. W dyskusjach tych nieledwie zapominamy, że kiedyś było inaczej i że w przyszłości może być inaczej. I znowuż tutaj nie będzie rzeczą zbyteczną przypomnienie niedawnej stosunkowo przeszłości przez odtworzenie sobie stosunku Józefa Piłsudskiego do tego zagadnienia.

Józef Piłsudski, wbrew wszelkim pozorom, walczył przez cały czas swej decydującej roli w Polsce o zdrowy parlamentaryzm. Podkreślając wiele razy swoją niechęć do metod wytworzonych w pierwszych parlamentach, równie silnie, jeżeli nie silniej, wypowiadał się przeciwko innym metodom, czy to „cezarystyczno-rewolucyjnym", czy też stanowiącym „połączenie demokratyzmu z rewolwerami". Jednakże warunkiem możności pracy parlamentarnej — obok zdrowego i nie tamującego pracy innych organów kierowniczych podziału pracy i odpowiedzialności — było w pojęciu Józefa Piłsudskiego istnienie w Sejmie stałej i odpowiedzialnej większości. Dla spełnienia tego warunku oddał — wbrew zdecydowanej swej niechęci do tego rodzaju eksperymentu — imię swe listom Bezpartyjnego Bloku w roku 1930. W wyniku wyborów zaś stwierdził w wywiadzie z dnia 26 listopada tegoż roku, mówiąc o uzyskaniu większości:

„Mogę powiedzieć, że jesteśmy teraz wyjątkiem w całej Europie; wykorzystać to powinniśmy nie dla powtarzania starych błędów, ale dla próby stworzenia normalniejszych podstaw dla prac państwowych. Dlatego też ja osobiście bardzo ciekaw jestem, jak uda się nasza praca, gdy trzy główne czynniki w państwie — Pan Prezydent Rzeczypospolitej, rząd i sejm — nie będą się kłócić między sobą, lecz zgodnie pracować. Gdy starannie unikać będziemy, jak mówię, błędów przeszłości, możemy dojść w przeciągu najbliższych lat do ustalenia sytuacji w Polsce i wielkiej rozbudowy jej wewnętrznej pracy i mocy".

Zapowiedź ta w wielkiej mierze została zrealizowana. Rok 1930 był istotnie momentem przełomowym nie tylko w zakresie historii polskiego parlamentaryzmu, nie tylko w zakresie całości naszego ustroju, „przez stworzenie normalniejszych podstaw dla prac państwowych", lecz i w zakresie zarówno „ustalenia sytuacji w Polsce", jak też — będącego następstwem tego ustalenia — rozwoju naszej państwowej „pracy i mocy".

Dzisiaj, gdy wiele się mówi i z różnych stron o „testamencie Józefa Piłsudskiego", gdy równocześnie z niesłychaną łatwością propaguje się takie czy inne koncepcje „skoków w niewiadome", czy w eksperymenty „cezarystyczno-rewolucyjne", czy w „połączenia demokracji z rewolwerami", czy wreszcie — po prostu — w przeszłość, na drogę powtarzania starych błędów — trzeba mieć wielką świadomość wartości pracy i dorobku Józefa Piłsudskiego, włożonej w utrzymanie i rozwój polskiego parlamentaryzmu, opartego o zasadę trwałej większości i istotnej zdolności do wytyczania dróg i stwarzania ram ustawodawczych dla państwa. Poszanowanie tego dorobku jest w gruncie rzeczy jedyną drogą zabezpieczenia przed ponownym i nieobliczalnym w skutkach eksperymentowaniem.

Zbigniew Domaniewski

Francuzi i Polska

Na temat politycznego znaczenia sojuszu polsko - francuskiego dużo się pisze w Polsce w ostatnich czasach. Natomiast w większości wypadków pozostaje poza nawiasem wszelkiej dyskusji zagadnienie duchowej treści tego sujuszu. Nie należy się temu zbytnio dziwić. Stosunki polsko - francuskie należą u nas do dziedziny niezmiernie sztywnych poglądów. W większości wypadków poglądy te są dla kształtowania się życia politycznego szkodliwe, gdyż należą do epoki wydarzeń i uczuć, która jest już bezpowrotnie zamknięta. Znajdujemy się obecnie w momencie dziejowym, w którym nasz aparat myślowy, z którym mamy podchodzić do zagadnień politycznych, związanych z Francją, powinien być całkowicie odmienny niż przed dwudziestu laty, czy wręcz w epoce przedwojennej. Szczególnie gdy chodzi o stosunek Francuzów do Polski nasze utarte wyobrażenia nie wytrzymują ogniowej próby zestawienia z rzeczywistością. Krytyczna rewizja poglądów jest tutaj nieodzowna.

W ocenie stosunku Francuzów do Polski należy przede wszystkim wyzbyć się sugestii naszego własnego stosunku do Francji. Nasz umysłowy i uczuciowy stosunek do Francji wynika w wielowiekowego kompleksu historycznych wydarzeń; stosunek Francuzów do Polski prawie wyłącznie z układu życiowych i psychicznych warunków powojennych. Należałoby więc mniej mówić o łączących oba kraje tradycjach, a więcej starać się wnikać w psychikę powojennej Francji. Nie mamy też zamiaru cofać się do czasów Władysława IV i Jana III, tylko postawimy się od razu wobec Francji walczącej z Niemcami w latach 1914 — 1918. Otóż dla stosunków polsko-francuskich zasadnicze znaczenie posiada fakt, że Francja wyszła z wielkiej wojny u czuciem ukoronowania dzieła swego historycznego rozwoju. Francja zwyciężyła pod hasłami zachowawczymi. Pragnienie odzyskania Alzacji i Lotaryngii, zamierzenie aneksji pewnych terytoriów azjatyckich i afrykańskich wszystko to było dążenie do zaokrąglenia Francji, do zamknięcia jej terytorialnej ewolucji. Nigdy nie było ono odczuwane przez Francuzów jako zamysł polityki ekspansywnej, nie znającej najczęściej celów ograniczonych w czasie i przestrzeni. Francuzi walczyli również o zachowanie i zaokrąglenie swego kuturalnego i społeczno - gospodarczego status quo z epoki przedwojennej. Zwycięstwo z roku 1918 było dla Francji podwójnie zachowawcze, a Liga Narodów miała w pojęciu Francuzów czuwać nad nienaruszalnością przedwojennych wartości, uratowanych w Europie z wojennej pożogi. Gwarantowanie pokoju i granic było brane nie tylko za cel sam w sobie, lecz i za środek dla zachowania warunków społeczno gospodarczych, w pierwszym rzędzie międzynarodowego kapitalizmu, rodzonego brata francuskiej burżuazji. Nie ma bardziej zasadniczego faktu dla zrozumienia i oceny polityki i życia francuskiego po wielkiej wojnie, jak stwierdzenie tej niezmiernie silnej łączności między dążeniem Francji do wiecznego zachowania istniejących granic z jej dążeniem do wiecznego zachowania dawnej struktury życia. Mówimy tu oczywiście o przeważającej większości społeczeństwa francuskiego, nie o jego wszystkich odłamach. Wieczny pokój — był to dla Francji roku 1919 fragment celu wyższego rzędu: kontynuacji ogólnych warunków życiowych epoki Napoleona III i młodej Trzeciej Republiki, słodkiej epoki, tak brutalnie zamąconej przez następstwa Sedanu i Serajewa!

Jednym słowem Francja pragnie żyć i żyje, w miarę, jak to jest jeszcze możliwe, w świecie stosunków, wyobrażeń i pojęć przeszłości. Co nowego, należącego do XX stulecia, a nie podlegającego impulsom mody, istnieje dziś we Francji, musiało przejść przez niezmiernie trudny i powolny proces wcielenia w zapóźniony świat XIX stulecia. Francja żyła np. od roku 1936 w warunkach XIX stulecia z punktu widzenia najbardziej podstawowych dzisiejszych zasad społecznych. Wcielenie w kompleks zacofanych pojęć takich rdzennych elemen-

tów nowoczesnego wyobrażenia o pracy, jak płatne wczasy robotnicze i ubezpieczenie na starość, przeszło we Francji dopiero po kilkunastu latach wysiłków czynników postępowych, przy pomocy bezkrwawej rewolucji frontu ludowego. Do dziś dnia jeszcze znaczny odłam społeczeństwa uważa reformy socjalne z roku 1936 za socjal - komunistyczny wybryk. Do dziś dnia nie nastąpiło wcielenie w przepojone duchem XIX stulecia francuskie ustawodawstwo takiej elementarnej zdobyczy XX stulecia jak cywilne i polityczne równouprawnienie kobiet z mężczyznami. Kobieta nie ma prawa dysponować własnym, nawet zarobionym przez siebie samą majątkiem, nie bierze udziału w głosowaniu do Izb ustawodawczych. Izba Deputowanych, poczynając od roku 1919, w którym zaczął się faktycznie XX wiek, uchwaliła siedem razy niemal jednomyślnie zrównanie kobiet i mężczyzn wobec prawa wyborczego, lecz Senat, krystalizacja francuskiego ducha zachowawczości, przechodził do porządku dziennego nad tymi ustawami, starał się nawet dokonać to w najbardziej pogardliwej formie. Czytając stenogramy posiedzeń Senatu, na których zastanawiano się, czy poddać dyskusji projekty przyznania Francuzkom prawa wyborczego, spotyka się stek niewiarogodnych absurdów i anachronizmów myślowych. Takich samych zresztą jakimi są np. gazowe latarnie, oświetlające mdłym światłem najpierwszorzędniejsze aleje Paryża, po których mkną szybko najnowocześniejsze samochody. Czy w zakresie życia politycznego, czy w zakresie stosunków społecznych, czy na polu myśli, Francja dzisiejsza jest Francją z połowy XIX stulecia, przyjmującą z trudem i powoli nieuniknione konieczności nowoczesnego życia. Francja jest krajem starych domów o nowych przybudówkach, starych praw, posiadających całe serie uzupełnień, które dokonywuje się dopiero pod nakazem ostateczności. Dla Polski jest to okoliczność zasadnicza. Polska jako państwo w XIX stuleciu nie istniała. I dlatego w korcu podstawowych pojęć, stanowiących żelazny kapitał duchowy i umysłowy dzisiejszych Francuzów, państwa polskiego nie ma. Państwo polskie to też nieodparta realność nowoczesnego życia, która musi dopiero wcielać się w myśl francuską, a wciela się z takim samym trudem i równie powoli jak płatne wczasy robotnicze, jak równouprawnienie kobiet. Dla rozwoju stosunku Francji do Polski długo jeszcze pozostanie decydującym momentem ten fakt trudnego i powolnego wcielania się dzisiejszej Polski w zastałą kałużę pojęć i wyobrażeń Francji z ubiegłego stulecia. Francji — która co najmniej pragnie żyć wśród warunków i pojęć ubiegłego stulecia.

Wszystko to nie jest bynajmniej oderwaną teorią. Jak dalece mamy tu do czynienia z niezmiernie realnym zjawiskiem, potwierdzi przykład z dziedziny naukowo-politycznej. Zwróćmy mianowicie uwagę na układ programu nauk w latach 1938—1940 w *Ecole Libre des Scieces Politiques*, którą kończy większość wykształconych polityków francuskich. Znajdziemy tam cztery przedmioty, w których programie powinno znaleźć się poczesne miejsce dla Polski, drugiego co do wielkości państwa Europy wschodniej, w której Francja pragnie zachować wpływy, nie mówiąc już, że państwo to jest jej sojusznikiem. Spotka nas jednak srogi zawód: w kursie geografii gospodarczej, poświęconym badaniu „głównych państw" dla Polski miejsce się nie znalazło; w kursie poświęconym polityce handlowej „głównych państw" jest np. miejsce dla państw bałkańskich, ale nie ma miejsca dla Polski; w kursie poświęconym ustrojowi politycznemu państw kontynentalno-europejskich również nie ma dla niej miejsca. Mówi się o niej tylko w ogólnikowym kursie, mającym cechy pedagogicznego potpurri, poświęconym „Europie Współczesnej". Ta faktyczna nieobecność Polski w programie poważnej francuskiej uczelni politycznej w świetle naszych poprzednich uwag nie może dziwić. Ecole Libre została ufundowana w roku 1871 i jak cała Francja wżyła się głęboko w świat poprzedniego stulecia. Główne linie jej programu były ustalone przez znakomitych uczonych i myślicieli jak Vidal de la Blache, Sorel, Leroy - Beaulieu i in., którzy reprezentowali szczyty nowoczesnej myśli, lecz w czasach, kiedy Polski nie było na politycznej mapie Europy. Po wielkiej wojnie państwo polskie, jak wszystkie nowe rzeczywistości, wciela się z trudem w program nauczania w Ecole Libre. Już nawet zjawiło się po kątach programu tej uczelni! Lecz Francuzi, jej wychowankowie, gdy wejdą w życie polityczne, zawsze będą kojarzyć Polskę z tą pokątnością miejsca w programie uczelni, co nie ułatwi im zrozumienia pierwszorzędności miejsca Polski w europejskiej rzeczywistości. Jest to bezsprzecznie jeden z najbardziej typowych faktów z dziedziny duchowego i intelektualnego stosunku Francuzów do ich wschodniej sojuszniczki. Wraz z innymi podobnymi świadczy on, iż Polska, taka, jaką dziś jest, Francuzom jest nieznana i obojętna. Polski w świecie umysłowym Francji prawie żenie ma. Jest zamiast niej coś, co nosi nazwę Polski, lecz ma zawartość nieokreśloną. Coś, co nie wzbudza żadnych uczuć. — Oto duchowy wkład Francuzów w polityczną treść naszego sojuszu!

Nieobecność Polski w przeciętnej świadomości francuskiej inteligencji tłomaczą inne jeszcze przyczyny. Przede wszystkim to, że Francuzi, w wielokrotnie większym stopniu niż inni ludzie, nie potrafią wyjść poza siebie, a znajdują się w stanie stagnacji. Otóż Polska dzisiejsza jest zjawiskiem nawskroś ewolucyjnym. Żeby ją poznać i zrozumieć należy śledzić nieustannie szybki proces rozwoju. Należy mieć zdolność przeczuwania, rozumienia i doceniania ewolucji w ogóle, trzeba znajdować się w nastroju patrzenia w przyszłość, a nie w przeszłość. Otóż Francuzi pochłonięci są myślą o przeszłości, w której Francja rysuje się wspaniale, natomiast z niechęcią myślą o przyszłości, która rysuje się dla Francji niepewnie. Francuzi nie potrafią wyjść poza siebie i będąc narodem w stanie stagnacji, posiadają wyjątkową niezdolność zrozumienia i doceniania, czy wręcz zauważania procesów ewolucyjnych, odbywających się wokół nich. Więcej jeszcze. W wielu wypadkach Francuzi starają się nie zauważyć i nie docenić tych procesów. Jest to akt instynktu samozachowawczego ludzi, którzy stracili wiarę we własną przyszłość. Gdy Francuz zrozumie i doceni jakąś ewolucję poza granicami Francji, to wobec faktu, że Francja pod każdym względem stoi na miejscu, musi uznać, że się ona kurczy. Otóż zrozumieć i docenić Polskę współczesną, to zrozumieć i docenić proces rozwojowy. A dla Francuza zrozumieć i docenić proces polskiego rozwoju, to otrzymać jeden więcej dowód, że Francja proporcjonalnie maleje, staje się coraz biedniejsza, słabsza, że odgrywa coraz mniejszą rolę w Europie. Stąd też i fakt rozwoju Polski nie jest przyjmowany przez Francuzów łatwo i z entuzjazmem. Stąd nieznajomość istoty Polski współczesnej.

Istnieją również poważne przyczyny psychologiczno - polityczne, wpływające niekorzystnie na stosunek Francuzów do sojuszniczej Polski. W ciągu ostatnich stu kilkudziesięciu lat Francja ani razu nie wypowiedziała Niemcom wojny w celu powstrzymania ich ekspansji na Wschód. Francja nie interweniowała w wojnie prusko - austriackiej, nie wypowiedziała Niemcom wojny w roku 1914, czekała aż zostanie przez Niemcy napadnięta, nie podjęła rękawicy, rzuconej przez Hitlera w kryzysie czechosłowackim. Psychika dzisiejszych Francuzów rozwinęła się pod wpływem polityki, która zawierała sojusze z mocarstwami kontynentalnymi, pragnąc stworzyć w czasie pokoju równowagę sił z Niemcami, aby w ten sposób zabezpieczyć pokój dla Francji jednak bez mocnej decyzji chwycenia za broń w obronie sojusznika. W świadomości politycznej dzisiejszych Francuzów zatarły się już wspomnienia wojny w innych warunkach, jak bezpośrednia obrona Francji przed napastnikiem. Tym samym nie istnieje jasno i niedwuznacznie zarysowana świadomość korzyści, jakie mogą wyniknąć z wystąpienia w obronie napadniętego sojusznika. Pod wpływem daleko idącej nieznajomości dzisiejszych zagadnień wschodnio - europejskich silnie występowało również we Francji przekonanie, że Polska jest zagrożona przez Niemcy w większym stopniu niż Francja. Wydaje się też Francuzom, że sojusz polsko-francuski posiada więcej ryzyka dla Francji niż dla Polski. Ostatnie wydarzenia międzynarodowe zachwiały tym przekonaniem, lecz nie zdołały go obalić. Przekonanie to może w niedalekiej przyszłości odzyskać dawną siłę.

Wielu Francuzów hołduje wreszcie idei, że Francja nie powinna się przejmować wzrostem potęgi Niemiec. Francja jest dla wielu swych synów państwem całkowicie nasyconym, które powinno zrezygnować z szerokiej kontynentalnej polityki mocarstwowej. — Następstwo omówionego już zjawiska: psychika Francuzów weszła w stan stagnacji.

Dla należytej oceny stosunku Francji do Polski trzeba więc uświadomić sobie dwa podstawowe fakty, z których wynika wszystko inne: że siłą dzisiejszej Polski jest właśnie to, co jest rdzennie obce psychice współczesnych Francuzów — ewolucja; że Francuzom ciągle się wydaje, iż żyją w drugiej połowie XIX stulecia, a więc w czasie, kiedy państwo polskie nie istniało. Ujawnia się w tym poważna rozbieżność między Polakami i Francuzami, zdolna wywołać w pewnych momentach dotkliwą dysharmonię: należymy do dwóch odrębnych światów! Myśli nasze poruszają się jakby w dwóch odrębnych i równoległych płaszczyznach, a takie płaszczyzny nigdzie się nie spotykają. Z tego właśnie wynika niedocenianie Polski. Stąd pochodzi częste niezrozumienie Francuzów dla polskiej polityki zagranicznej, dla naszych dążeń narodowych i postulatów politycznych. Stąd również pochodzą tragiczne w skutkach błędy francuskiej polityki zagranicznej w zakresie spraw związanych z Polską. Tutaj znajduje się główne źródło trudności.

Władysław Kamiński

Podstawy działania

Z przemówienia wygłoszonego w Senacie w dniu 9 marca r.b.

Sytuacja geopolityczna Polski wymaga, abyśmy mówili wyraźnie, czynili zdecydowanie i pracowali nad wzmocnieniem sił naszego Narodu i Państwa najbardziej aktywnie i najbardziej wydajnie. Naród i Państwo Polskie, w tym położeniu geograficznym, w jakim się znajdują, muszą dostatecznie szybko wyrównać nierówności potencjału materialnego i potencjału duchowego. Wszelki rzucany nieopatrznie czad nieodpowiedzialnych haseł, czad słów, których psychoza ogarnia w następstwie niektóre szeregi młodzieży, czy niektóre elementy ludu polskiego, jest niebezpieczeństwem. Musimy mówić jasno i działać realnie. W stosunku do wszelkich pożałowania godnych wypadków musimy zajmować stanowisko niedwuznaczne; nasza akcja polityczna musi być oparta na głębszej podstawie, nie na doraźnej represji, ani też na chwiejnym poszukiwaniu coraz to nowej drogi.

Musimy sobie jasno powiedzieć, że dziś w Polsce nie czas na to, ażebyśmy tworzyli nowe obozy polityczne, z dnia na dzień rzucali coraz to nowe hasła. Na podstawie twardej oceny rzeczywistości, w poczuciu obowiązku, zostało wysunięte hasło konsolidacji. Przeciwko hasłu temu nikt nie protestował i nie protestuje, wielu jest jednak tych, którzy cieszą się z trudności na drodze do jego realizacji.

Partykularyzm czy sobkostwo przesłoniło sprawę pilnej konieczności państwowej, zamknęło oczy na odpowiedzialność, która spada na nasze pokolenie za ten może atawizm po przodkach odziedziczony, za przyszłe losy Polski, za rozbicie, które z pokolenia w pokolenie polskie idzie. Korzysta się z jakichkolwiek straszaków. Dziś jednym z takich straszaków jest zagadnienie totalizmu w Polsce, choć jeszcze do dzisiaj w Polsce nikogo pod przymusem nie skonsolidowano. Istnieją w Polsce obozy, partie, mafie, jawnie i publicznie zwalczające O. Z. N., wszystkie one wypowiadają swoje poglądy, grożą nawet obaleniem obecnego Rządu. Niektóre z nich dziś zajmują stanowiska antytotalne, zapowiadają natomiast, że totalizm realizować będą w chwili, kiedy sami dojdą do władzy i kiedy będą to mogły czynić pod własną komendą. Może i wśród członków O. Z. N. znajdzie się jakiś totalista, czyż jest to jednak dowodem, że Obóz Zjednoczenia Narodowego czyha tylko na moment, aby zrealizować zagadnienie totalizmu. Gdyby tak było, to momentów takich nie brakło już i w przeszłości. Nikt z nich nie skorzysta. My natomiast uważamy i będziemy uważali za obowiązek naszego pokolenia nawoływać cały naród do jak najpełniejszej konsolidacji sił, do jak największego zwarcia i karności, bo tego wymaga najistotniejszy interes Państwa. Chyba dla każdego będzie jasne, że im konsolidacja będzie pełniejsza i głębsza — tym większą mrzonką będą wszelkie zakusy totalistyczne. Stojąc na tym stanowisku, musimy jednak wyraźnie powiedzieć, że nie na wszystkie przejawy wolności będziemy zamykali oczy, w szczególności, że nie możemy i nie będziemy patrzeć obojętnie na wychowywanie w negacji ludu polskiego i młodzieży polskiej.

Polska Odrodzona nie jest i nie może być Polską nielicznej warstwy górnej. Cała młodzież polska, nie tylko młodzież uniwersytecka, cały lud polski musi nieść wielką, godną, pozytywną współodpowiedzialność za losy Polski. Każde państwo może być lepiej lub gorzej urządzone, lepiej lub gorzej zorganizowane, ale to nikogo nie może zwolnić ani od obowiązku, ani od odpowiedzialności za jego losy w formach, jakie w danej chwili czy epoce obowiązują. Nie sądzę, aby ktoś realnie myślący mógł liczyć na wewnętrzny rozpad obecnego ustroju Polski. Zostaje więc jedynie droga ewolucji, droga kulturalnego porozumienia, czy kulturalnej, owianej troską o dobro ogólne, walki o swoje hasła, swoje programy, walki o lepsze jutro dla naszego Narodu i Państwa.

Położeni między totalizmami, sami idziemy własną drogą. Drogę tę wyznaczył nam nasz porządek prawny. Niech nikt nam jednak nie wmawia, że prawo jest jedynym, wyłącznym i dostatecznym regulatorem życia. Prawo dotyka występnych. My jednak musimy dbać o to, by niszczyć atmosferę występku. Nie tylko więc prawo formalne, ale i poczucie moralne Narodu musi bronić podwalin naszego bytu narodowego. Regulatorem nie może być tutaj jedynie sumienie danej jednostki. Widzimy wyraźne przekroczenia pod tym względem. Przekonań tych tolerować nie będziemy. Będziemy sami walczyli i będziemy wzywali Rząd do gruntownej rozprawy ze zwyrodnieniem, które zagraża od strony niektórych elementów zbyt rozpolitykowanych w Polsce.

Do najważniejszych zagadnień prawnego i moralnego porządku w Polsce należy sprawa ordynacji wyborczej. Uznaliśmy, że obecna ordynacja wyborcza jest wadliwa. Prace nad jej poprawą Obóz Zjednoczenia Narodowego już rozpoczął, ale zgodnie z oświadczeniem Szefa Obozu, nie mamy zamiaru urządzać pod tym względem wyścigów. Istniała możność zmiany ordynacji wyborczej do Sejmu i Senatu w obecnym parlamencie. Mogli to zrobić zwłaszcza ci, co dziś stawiają terminy, co dziś nakłaniają do galopu. Ale w tym galopie my nie weźmiemy udziału, a to, co do nas należy, potrafimy zrobić i zrobimy należycie i właściwie.

Musimy się w szczególności zastrzec przeciw łączeniu sprawy zmiany ordynacji wyborczej ze sprawą wyboru Prezydenta Rzeczypospolitej. Nowa Konstytucja w ręce Prezydenta Rzeczypospolitej złożyła prawo powoływania i rozwiązywania Izb Ustawodawczych, niezależnie od podstaw i ordynacji wyborczej, na jakich został wybrany parlament. Historyczna odpowiedzialność Głowy Państwa jest jedynym probieżem postępowania Pana Prezydenta w granicach uprawnień, przewidzianych dla Niego w Konstytucji. My Panu Prezydentowi nic sugerować nie mamy zamiaru.

Muszę tu sprostować niektóre nieści-

słości, które były wypowiadane w czasie dzisiejszych debat.

Czy zdarzyło się w krajach nawet najbardziej kulturalnych i demokratycznych, aby w czasie akcji wyborczej nie popełniono tu i ówdzie jakichś niedociągnięć czy niewłaściwości.

Nie będę tu ani wybielał ani oczerniał naszych ostatnich wyborów parlamentarnych. Muszę jednak stwierdzić w imieniu OZN, że Obóz ani pracy i dorobku niepodległościowego płka Sławka, ani autorytetu gen. Żeligowskiego nie pozwolił w agitacji wyborczej w najmniejszym stopniu kwestionować. Mogły się zdarzyć pojedyńcze wypadku roznamiętnienia politycznego, za które trudno obarczać odpowiedzialnością OZN, tym bardziej, że agitacja przeciw Obozowi nie przebierała w środkach i doborze haseł.

Czystość haseł, moralna podstawa pracy, jak najgłębsze pobudki patriotyczne są i będą podstawą działania naszego obozu i każdego na zdrowych zasadach zorganizowanego społeczeństwa.

Mamy więcej zbyt ważnych zadań i prac w Polsce, abyśmy się chcieli oddawać pracy poniżania powagi najbardziej zasłużonych autorytetów niepodległościowych.

Służymy Polsce, pragniemy wzmóc aktywność mas ludowych w ich pozytywnej, gospodarczej i politycznej pracy dla Polski, pragniemy ugruntować niezależność gospodarczą naszego kraju, pragniemy w dziele najszerzej pojętej obronności i wzrostu siły ugruntować byt i pozycję naszego Państwa w świecie. Ale dlatego ze wszystkich sił bronić będziemy jednego z największych dokonań Marszałka Piłsudskiego: poszanowania autorytetów w naszym Państwie, autorytetu Pana Prezydenta i autorytetu Naczelnego Wodza. Te autorytety muszą stać ponad wszystkimi innymi, muszą być autorytetami dla wszystkich.

Polska karna i mocna wewnętrznie potrafi sprostać zadaniom i próbom chwili obecnej, wyrówna zachwianą równowagę sił i wiekowy bilans zaniedbań, pójdzie szlakami wielkich poczynań, historycznymi gościńcami naszych przodków.

Tadeusz Lechnicki

Człowiek i kartele

Przemówienie wygłoszone na plenum Sejmu w dniu 8 marca

Stoimy przed jednym z najtrudniejszych zagadnień w naszej polityce gospodarczej. Pozwolę sobie naświetlić tę sprawę z dwóch punktów widzenia.

a) z punktu widzenia rozwoju polskiego gospodarstwa narodowego,
b) z punktu widzenia roli politycznej, jaką odgrywają kartele w życiu kraju.

Z konieczności nawiązuję do podstawowych założeń, mianowicie do zasad, na których musi opierać się nasza polityka gospodarcza. Za takie zasady uważam:

1) Polityka polska musi dążyć do ożywienia obrotów gospodarczych zarówno wewnątrz kraju, jak i w handlu zagranicznym. Wszelka produkcja w Polsce musi opierać się na kalkulacjach, które pozwolą obsługiwać rynek wewnętrzny, zwłaszcza wieś, po cenach dostosowanych do poziomu dochodu społecznego. Ogólny poziom cen w Polsce musi zapewniać konkurencyjność pracy polskiej na rynkach światowych.
2) Polityka gospodarcza musi zapewniać opłacalność pracy gospodarczej całego gospodarstwa społecznego. Polityka musi dążyć do opłacalności pracy w rolnictwie, przemyśle, handlu i rzemiośle. Dążenie to nie da się pogodzić ze sztuczną rentownością zapewnioną niewielkiej grupie przemysłu skartelizowanego.
3) Polityka gospodarcza musi oprzeć się na człowieku gospodarującym na własny rachunek i własne ryzyko. Na człowieku, który nie może przerzucać ani przez etatystyczne eksperymenty, ani przez kartelowe zmowy, odpowiedzialności za popełnione błędy na całe społeczeństwo.

Jak w obliczu tych prostych założeń wygląda polityka tzw. sfer gospodarczych, zgrupowanych w Centralnym Związku Przemysłu Polskiego w okresie ostatnich lat 20.

Oceny nasze dzielimy na dwa okresy:

1) Lata 1920-26 — okres walki o uruchomienie za wszelką cenę zdementowanych przez wojnę warsztatów pracy;
2) lata od 1927 r. do 1938 r., okres świetnej koniunktury i załamania kryzysowego.

W okresie pierwszym w interesie ogólnym leżało, aby za wszelką cenę, nawet bez oglądania się z czyjej kieszeni płacono, ruszyć z miejsca.

Toteż w stosunku do tego okresu nie interesuje mnie czy ten lub ów warsztat został uruchomiony dzięki nadmiernemu wyzyskaniu zysków inflacyjnych, zręcznemu wyśrubowaniu cen, czy też nadmiernym i drogim zamówieniom państwowym.

Kraj był bez rezerw kapitałowych, bez podstaw politycznych dla uzyskania zdrowego kredytu zzewnątrz. Każdy, który przyczyniał się do uruchomienia jednej więcej obrabiarki, jednego więcej wrzeciona lub transmisji, pełnił pomimo tych czy innych błędów pożyteczną pracę dla gospodarstwa społecznego. I dlatego za ten okres pionierskiej pracy nie będziemy wystawiali dziś rachunków nawet w tych wypadkach, w których okazywane przez państwo ułatwienia mogły być z gospodarczego punktu widzenia nadmierne.

Niestety, zgoła inaczej przedstawia się bilans okresu drugiego. Jakie są najistotniejsze pasywa polityki sfer gospodarczych w Polsce:

*

1) Polityka ta jest polityką statyczną, właściwa bowiem renta kartelowa dla dobrego warsztatu polega na różnicy między jego kosztami produkcji a kosztami niezmodernizowanego najdrożej pracującego warsztatu. Z tych założeń wynika walka o ochronę złego warsztatu pracy.

Dochodzimy do takich absurdów, jak np. wieloletnia umowa karbidowa, gdzie najnowocześniejszy warsztat w Chorzowie otrzymywał milion złotych rocznie za przestój, ceny karbidu były o 100% wyższe od cen gospodarczo uzasadnionych, a karbid był produkowany na najdrożej pracujących warsztatach, budowanych w okresie Ministra Lubeckiego.

Wysoce uporczywą i niestety zwycięską była i jest walka kartelu cukrowniczego o utrzymanie najdrożej pracujących cukrowni. Miarą absurdu jest tutaj fakt, że największą rentowność w r. 1934 wykazywała cukrownia, która nie produkowała ani worka cukru.

Kartel cementowy płacił odszkodowania nawet kartelom sąsiednich krajów, byleby się uchronić od konkurencji zagranicznej.

Nowozorganizowany kartel drożdżowy rozpoczyna swą pracę od unieruchomienia najlepszego warsztatu i trzeba dopiero reakcji opinii społecznej, aby zmienić tę dyspozycję.

Przykładów tego rodzaju mógłbym cytować więcej.

Zamiast istotnie twórczej walki przemysłowca o potanienie kosztów własnych przez unowocześnienie warsztatu, walki o przydział pracy na rynku wewnętrznym i eksporcie, rozwinęła się polityka nadmiernej i nieuzasadnionej renty kartelowej.

Ustaliły się obyczaje, oderwane od najprostszej prawdy, że przy polskim przyroście naturalnym, przy zahamowaniu możliwości emigracyjnych, warunkiem rozwoju jest wielkość produkcji, że polską ideą gospodarczą winny być te milowe kroki, którymi bogaciła się Japonia lub osiągnięcia uprzemysłowienia, które wykazywała gospodarka nowych państw, jak Finlandii

lub Czechosłowacji; ustaliła się polityka, wprowadzająca produkcję przemysłową Polski w zastój.

*

2) Nie dalej jak przed paroma dniami oficjalny organ Lewiatana, „Przegląd Gospodarczy", licząc na małą dojrzałość i przygotowanie szerokich warstw społeczeństwa, stwierdza, że poziom cen przemysłowych w Polsce jest jednym z najniższych w Europie oraz powiada, że ceny przemysłowe w Polsce nie interesują rolnictwa, że rolnictwo jest zainteresowane wyłącznie w poziomie cen rolniczych.

Wbrew tym ocenom stwierdzam kategorycznie, opierając się na badaniach ostatnio ogłoszonych w wydawnictwie Śląskiej Izby Przemysłowo-Handlowej, że poziom cen wewnętrznych artykułów własnej produkcji w Polsce obecnie jest najwyższy w Europie i że jest wprowadzeniem w błąd opinii twierdzenie, że postulat cen, dostosowanych do poziomu średnio europejskiego, jest „poglądem minionej epoki".

Od r. 1931 stałym chwytem taktycznym było wskazywanie, że jedynym słusznym zabiegiem jest podniesienie cen rolnych, że rolnictwo nie jest zainteresowane w cenach przemysłowych. Wydaje mi się, że jeśli dziś do 9 zł., które otrzymuje się w Antwerpii za kwintal żyta, rząd dopłaca drugie 9 zł. z podatków, a cena w Polsce stabilizuje się na 12 zł., to możemy śmiało twierdzić o ograniczonej możliwości skutecznego i gospodarczo uzasadnionego wpływania na ceny rolnicze i że jest koniecznością w równej mierze szukać wyrównań po stronie obniżenia cen wyrobów przemysłowych.

W zakresie cen przemysłowych pamiętajmy, że Polska przyniosła na Zaolzie drożyznę. Okazało się bowiem, że ceny polskie przemysłowe są o 30—40% wyższe wtedy, gdy ceny rolnicze są niższe o około 20%.

Wieleż razy i do znudzenia w okresie kryzysu powtarzali przedstawiciele karteli, że właściwe możliwości zniżek nastąpią wtedy, gdy warsztaty ich nie będą miały świętówek, nie będą pracowały po dwa dni w tygodniu, gdy będą w pełni zatrudnione.

W większości przemysłu ten stan nastąpił, dzięki zwłaszcza planowi inwestycyjnemu państwa, mimo to o obniżkach cen, gospodarczo nie tylko uzasadnionych. lecz wprost koniecznych, nie słychać dotąd.

W tej chwili utarł się i jest silnie lansowany mit, że stosowana z umiarem polityka likwidacji przerostu cen, która jest koniecznością, stanie się czynnikiem załamania koniunktury. Tezę tę za Lewiatanem powtarzają nawet ludzie, ponoszący odpowiedzialność za pewne dziedziny naszego życia gospodarczego.

W przeszłości miałem okazję, niestety tylko w stosunku do 2-ch przemysłów, przeprowadzić całkowicie zabieg wyrównawczy.

W stosunku do cukru, gdzie cena cukru dla cukrowni została obniżona od wskaźnika 100 do 46, w rezultacie rentowność produkcji jest dziś ta sama, jak przed obniżką, mimo że pozytywne działanie obniżki było przecież ograniczone przez fiskalizm akcyzowy, który nie chciał zbyt ryzykować dla zwiększenia konsumcji poprzez znaczną obniżkę akcyzy. W ostatnich latach przemysł cukrowniczy inwestuje bardzo dużo dla zwiększenia przerobu dobowego cukrowni.

Przemysł cementowy, który został zmuszony do gruntownej obniżki cen, podniósł produkcję o 400% i dziś buduje szereg nowych cementowni.

Najtrwalszym bowiem źródłem poprawy jest proces dostosowany do tego poziomu, który odpowiada istotnym warunkom gospodarczym kraju.

*

3) Dzięki polityce cen Lewiatana Polska inwestuje drogo na pożyczonym pieniądzu. Przeciętny koszt inwestycji w Polsce jest o 25 do 40% droższy, np. niż w Czechosłowacji. Ma to swoje podwójne oblicze. Póki się wydaje pieniądze pożyczone, to nie odczuwa się niebezpieczeństw płynących z za drogich kosztów inwestycji. Dopiero jak się zacznie spłacać, to kraj cały odczuje jak fatalną w skutkach jest polityka utrzymania kosztów inwestycji w Polsce na poziomie gospodarczo nieuzasadnionym.

*

4) Polityka sfer gospodarczych jest najistotniejszą przyczyną rozwoju szkodliwego etatyzmu w Polsce. Etatyzm jest tylko wtedy możliwy, gdy ma oparcie w monopolu lub w organizacji kartelowej.

Niech mi wolno będzie przytoczyć bardzo prosty przykład z życia. W mojej najbliższej okolicy pewna instytucja państwowa zorganizowała gospodarstwo rolne na paru folwarkach. Miała ułatwienia, mając zbyt zapewniony w zakresie własnych potrzeb. Przyszło pierwsze załamanie kryzysowe i dziś już nikt nie pamięta, że w ogóle państwo próbowało gospodarować na roli na własny rachunek.

Kartele wychowują etatyzm, tezę tę jakżeż łatwo można udowodnić, przejrzawszy chociażby spis przedsiębiorstw etatystycznych.

*

5) Wbrew wszelkim optymistycznym ocenom, dynamika obrotów handlu zagranicznego w Polsce wykazuje w stosunku do wszystkich krajów, mających te same konieczności rozwojowe, tempo znacznie słabsze.

Gdy szukać przyczyn, to należy ich szukać przede wszystkim w polskiej polityce nadmiernej ochrony celnej, która jest potrzebna kartelom, gdyż chroni je od konkurencji, ale jest szkodliwą dla rozwoju gospodarstwa polskiego.

Polityka nadmiernych skrępowań handlu zagranicznego poprzez kontyngenty, kompensaty, clearingi, doprowadza do zjawisk szkodliwych dla całości gospodarstwa i jego rozwoju, zabezpieczających jednakże nieuzasadnione zyski przedsiębiorstwom korzystającym z kontygentów.

Wtedy gdy polityka gospodarcza wszystkich krajów i narodów — o ileż bogatszych od nas — jest od lat 7-miu walką o utrzymanie się na rynku wymiany międzynarodowej poprzez właściwą politykę cen i kosztów produkcji — „Przegląd Gospodarczy" twierdzi, że nawoływanie w tym kierunku jest powracaniem „do poglądów minionej epoki".

Ocena, którą warto dobrze zapamiętać.

*

6) Wreszcie człowiek.

Przed paru laty poprosiłem na dużej konferencji gospodarczej przedstawicieli karteli, aby mi zestawili sposób rozporządzania milionami kartelowymi. Chodziło o to, czy nagromadzone środki szły na cele inwestycji produkcyjnych, czy też konsumcyjnych.

Czy wtedy gdy my, jak ci panowie twierdzą, budujemy zamki na lodzie racjonalnego uprzemysłowienia kraju, oni nie kupują zamków nad Loarą, jako najistotniejszej gwarancji i lokaty pieniędzy, zarobionych w Polsce.

Niestety, dotychczas odpowiedzi nie otrzymałem.

Luksusowe kamienice, budowane w dużej mierze za środki należne państwu, a pozostawione w postaci ulg podatkowych, świadczą, że w polityce lokowania swoich zarobków kartele mają nastawienie konsumcyjne, nie produkcyjne.

Że kierownicy dziedzin produkcji kartelowych to raczej dobrze opłacani urzędnicy, nie przemysłowcy, walczący z trudnościami, szukający dróg, ponoszący ryzyko tego szukania.

*

W tych paru punktach chciałem się podzielić uwagami co do szkodliwych skutków działalności kartelowej w Polsce.

Sprawa jest wyjątkowego znaczenia, gdyż polska opinia musi umieć rozróżnić między koniecznością pełnego poparcia odważnej pracy przemysłowca, przy jednoczesnym odcięciu możliwości łatwego kartelowego zysku i wyzysku.

*

Przechodzę do zagadnień, związanych z akcją polityczną karteli.

Gdy patrząc wstecz na 20 lat ubiegłych zapytujemy się, jak się stać mogło, że wieś ubożała w tym samym okresie, gdy przez zmowy kartelowe szereg ludzi, bardzo luźno związanych często z przeszłością kraju, dorabiał się milionów na drożdżach, ryżu, pośrednictwie węglowym i żelaznym, sztucznym jedwabiu, cukrze i tylu innych artykułach, — to stwierdzić musimy, że najistotniejszym źródłem umożliwiają-

cym taki stan rzeczy było od zarania niepodległości, polityczne rozbicie wsi polskiej, niczym istotnym nieuzasadnione.

Niestety, robota dywersyjna na wsi jest kontynuowana nadal i dzięki niej nadal kartele zbierają śmietankę poprawy gospodarczej.

*

Są 2 baterie, z których bije Lewiatan na Obóz Zjednoczenia Narodowego.

Pierwsza — to właśnie stary, niezawodny wspomniany wyżej sposób — próby skłócenia wsi. W codziennym repertuarze spotykamy czułe słowa z ich strony — i obronę interesów wsi przed Obozem Zjednoczenia Narodowego.

Nie chcę być gołosłowny. Przytoczę ,Kurier Polski" z dnia 16.XII — 1938 r., który ostrzega ludność wsi, mówiąc:

„Oj, chłopi, chłopi, gdybyście tak szybko i dokumentnie wiedzieli, co z wami różni ludzie wyprawiają. Dawniej nazwano was „cesarskimi", zisiaj „bezpartyjnymi prorządowcami", ale wy i to wytrzymacie".

Znaczy to, że ludzie, służący swojemu i obcemu kapitałowi w Polsce ostrzegają chłopów polskich, na których skórze dorobili się milionów, przed robotą polityczną, prowadzoną z rozkazu Naczelnego Wodza, za aprobatą Najwyższego zwierzchnika Państwa, i porównują nas, działaczy tego Obozu, z przedwojennymi agentami obcych zaborców.

Te umizgi do wsi znajdziemy w każdym numerze pism lewiatańskich pod szumnymi tytułami walki o zwycięstwo niezależnych sił wiejskich.

Wydaje mi się, że te próby są zgóry skazane na bezskuteczność, bo wieś polska, niezależnie od dzielących ją różnic, kartelowe umizgi i pieniądze odrzuci bez reszty.

*

Druga bateria — to bezpośredni atak na Obóz Zjednoczenia Narodowego, to komentarz, szukający wszędzie rozdźwięku, czy to wewnątrz naszych szeregów, czy w stosunku do rządu. Charakterystykę naszej działalności, zawsze bez reszty negatywną, odnajdujemy pod soczystymi tytułami: „Rozbity dzban", „Groźna Fikcja", „Polityczna Zawalidroga", „Trąby Totalizmu", „Dwa Światy krzyżują szpady w Ozonie", „Ozon fermentuje", „Ozon rozsadzany żądzą władzy i radosnej twórczości", „Rosną napięcia", „Cały Gabinet solidarny wobec ataku pułkownika Wendy" itd.

Wobec tych ataków przechodzimy z uśmiechem.

Nie chcemy atmosfery cieplarnianej w Polsce. W szczególności jesteśmy zadowoleni z walki z tymi, których znamy zbyt dobrze i to znamy z innej strony, aniżeli ze strony wiary w słuszność reprezentowanego przez nich programu.

Gdy Tomasz Arciszewski nie wierzy w trafność kierunku naszego marszu, gdy spotykamy się ze zdaniem przeciwnym naszemu ze strony wychowańców Romana Dmowskiego, to w tych wypadkach — przeciwstawiając nasze zdanie — staramy się weryfikować równocześnie uczciwie w głębi naszych sumień słuszność dróg naszych.

Ale krytyki za pieniądze Lewiatana naprawdę nas ani nie wzruszą, ani tymbardziej nie przerażą.

Kurjer Polski sugeruje terminy, wskazuje daty, grozi falą niepokojów w obronie wolności politycznej w Polsce. Stara się wmówić, że już nie tylko siły ziemskie ale i siły niebieskie są z Lewiatanem. Opierając się na autorytecie politycznym astrologa Prengla, zapowiada na luty — „szerzenie się atmosfery niepokoju, demonstracji, strajków lub zamachowości", na marzec „większe napięcia Marsa i Neptuna. Groźba decydujących konfliktów".

Od siebie Kurjer podkreśla „że gwiazdy nie mówią znów tak niedorzecznie".

Przepraszam za dygresję. Nie mogłem się jednak oprzeć pokusie aby nie zwrócić uwagi na zabawne harce polityczne tych panów.

Rozumiem zresztą zdenerwowanie tych, którzy tymi harcami kierują. Przez lat 20 nic się nie działo w sali sejmowej poza ich wpływem i udziałem i nagle, pomimo starań i zabiegów, popartych zdawało by się mocnymi argumentami, pozostali poza drzwiami Izb Ustawodawczych. Nic więc dziwnego, że obrazili się na Obóz Zjednoczenia Narodowego. To im wolno. Wolno im też bronić swoich dochodów, interesów własnych, czy interesów w 80% niepolskich mocodawców. Niechaj jednak nie stroją się w wielkie hasła obrony wolności, wielkości i siły Narodu polskiego, zagrożonej przez akcję Obozu Zjednoczenia Narodowego.

Ten ton w ich ustach jest już zupełnie niewłaściwy. Niech się nie łudzą, że będą mogli go używać i nadużywać bezkarnie.

NOTATNIK ZAGRANICZNY

Nowe nastroje i nowe metody

Paryż, w marcu 1939 r.

(z. d.) Dzisiejsi Francuzi nie posiadają już genjusza politycznego Francuzów z XVII — XVIII stulecia. Zdaje się jednak, że nie stracili nic z bystrości w dziedzinie humoru, szczególnie humoru politycznego. Gdyby politycy francuscy robili dziś tak dobrze politykę, jak dobrze karykaturzyści podchwytują aktualne sytuacje i nastroje polityczne, to Francja nie przeżywałaby swych kłopotów. Tak przynajmniej mówi się często w Paryżu pod koniec tygodnia, gdy ukażą się nowe numery tygodników.

Ostatni „Le Rire" przyniósł dwie dobre karykatury. Na jednej widać, jak po skłębionych i groźnych obłokach pędzą na armacie Hitler i Mussolini. Niebo grzmi turkotem kół i pada na ziemię deszcz grozy, którego nie boi się tylko dobroduszny Chamberlain, uśmiechający się pod rozpostartym parasolem, owym sławnym, monachijskim. Od czasu Monachjum upłynęło jednak dużo wody w Tamizie, w nastrojach i metodach w Londynie zaszły duże zmiany i oto oglądamy inną karykaturę: Chamberlain w tygrysim skoku otwiera swój parasol i rzuca się z nim jak z bagnetem, godząc ostrym końcem w zaskoczonego i zdetonowanego Mussoliniego. Inne niebo, inna atmosfera, inny duch, obaj ludzie zmienieni nie do poznania. — „Monachium" i „Londyn".

Chamberlain otworzył parasol, jak niegdyś dumne fregaty Ich Królewskich Mości podnosiły żagle. Wiatru nie braknie, chamberlainowski minister wojny zaświtał w Izbie Gmin dywizjami, tysiącami samolotów, setkami tysięcy ludzi ubranych w stalowe pancerze tanków, gotowych zerwać się do chamberlainowskiego skoku. Wszystko to gotowe ruszyć ławą na kontynent i zagrzmieć niemniej głośno jak nowocześni bogowie z Walhalli, jadący armatą po groźnych obłokach, zamiast, jak chciał wielki Mistrz, iść zbożnie piechotą po łagodnej tęczy. — Niemiecka mistyka spotkała się z anglosaską pięścią!

*

W Londynie zapanowały nowe nastroje i nowe metody. W Rzymie i Berlinie popsuły się nastroje, nie widać jednak narazie, jakie to obmyślono nowe metody. W Rzymie Virginio Gayda załamuje ręce i zadaje sobie emfatyczne pytanie, „cóż jeszcze pozostało z angielsko-włoskiej przyjaźni?";

Goering rozkoszuje się wiosną w San Remo i niewątpliwie dużo rozmyśla o swych rozmowach, które będzie miał z Mussolinim w końcu miesiąca; dyktator Włoch pracuje nad mową na dzień 23 marca, w której ma sprecyzować swe rewindykacje. Żyjemy jednak w okresie historii, w którym sztuka sceniczna i motywy melodramatyczne zbyt głęboko przeniknęły do polityki międzynarodowej, żeby trzeba było brać dosłownie wszystkie tragiczne westchnienia, groźne zapowiedzi i chytre plany, które potrafią przejrzeć tylko dziennikarze. W Londynie pokazuje się pięść, w Rzymie przyjmuje się to z oburzeniem, lecz w Londynie nikomu nie spieszy się do wprawienia pięści w ruch, a w Rzymie termometr wcale nie wykazuje spadku temperatury włosko-angielskich uczuć. Na serio odbywa się tylko jedno: jak Mussolini precyzuje swe rewindykacje, tak Chamberlain precyzuje swe rady, których ma zamiar udzielić Francuzom. Jeśli wierzyć przenikliwości brytyjskich dziennikarzy, to o Djibuti, Tunisie i francuskim udziale w kapitale kanału Suezkiego mówi się dużo w Londynie. Nie wykluczone nawet, że Mussolini i Chamberlain sprecyzują swoje koncepcje w dyskretnym porozumieniu. Jest to o tyle prawdopodobne, że na temat tych trzech grup francuskich interesów imperialnych mówi się półgłosem w związku z rewindykacjami włoskimi we wszystkich stolicach Europy. I w dodatku zawsze mówi się z optymizmem, który już nawet zaczyna przypadać do gustu Francuzom. Konkretnie rzecz biorąc w programie nowych historycznych zmian znajduje się utworzenie dla Włoch wolnego portu w Djibuti, sprzedaż po taniej cenie kolei Djibuti — Addis Abeba, obniżenie opłat kanałowych i udział Włochów w Radzie Administracyjnej kanału Suezkiego, przedłużenie na wieczne czasy narodowościowego statutu politycznego Włochów w Tunisie. Jednym słowem lista spraw, które w koncepcji Londynu należą do tych, które można załatwić bez mobilizacji.

Istnieje jednak i inna drażliwa sprawa, mianowicie rewindykacje niemieckie. Załatwienie tej sprawy ostatnio stało się już nie tak proste, gdyż wobec systematycznego precyzowania się i zbliżania do wspólnej granicy włoskich żądań i angielskich rad dla Francji, musi rosnąć umiarkowanie Mussoliniego w ocenie słuszności rewindykacji niemieckich, skierowanych głównie pod adresem Anglii. Chamberlain zachwalał swojego czasu tak gorąco rolę Mussoliniego w kryzysie czechosłowackim, tak dużo nadziei pokłada w pokojowej funkcji nowej fazy przyjaźni angielsko-włoskiej, że Mussolini może czuć się zobowiązany. Szczególnie, gdy przyjaźń angielsko-włoska działa owocnie w sprawie rewindykacyj włoskich pod adresem przyjaciółki Francji! Istnieją więc powody dla przypuszczenia, że gdy Mussolini i Goering spotkają się pod koniec miesiąca, włoski gospodarz będzie przemawiał raczej umiarkowanie. Z drugiej jednak strony Włochy mogą chcieć nie hamować zbyt mocno parcia Niemiec do kolonij, aby wykorzystać to parcie dla skonsolidowania swych pozycyj w obszarze dunajskim. Zagadnienia dunajskie stają się dla osi Berlin-Rzym paląco aktualne i znowu nabierają charakteru próby trwałości osi.

*

Nowe metody, które się obmyśla lub stosuje na Zachodzie, odnoszą się nie tylko do terenu polityki rewindykacyjnej. Francja dała nam przykład nowej metody w pracy nad naprawą fatalnie popsutych ogólnych stosunków pokojowych między dwoma państwami. Ta nowa metoda uwidacznia się w nominacji marszałka Petain ambasadorem francuskim przy rządzie generała Franco.

Nominacja ta posiada podwójną wymowę. Jest wydarzeniem z dziedziny francuskiej polityki zagranicznej i wewnętrznej. Z punktu widzenia zagranicznej sytuacji Francji wyjście marszałka Petain z odosobnienia i zacisza prac wojskowych celem wypełnienia misji politycznej wskazuje na niezwykłą wagę chwili. Półurzędowa misja senatora Berarda, który nawiązał pierwszy kontakt między Francją a gen. Franco, wykazała tak wielką nieufność wodza nowej Hiszpanii pod adresem Francji, tak wielkie uzależnienie jego od pomocy włoskiej, że we Francji zadano sobie pytanie, czy aby Pireneje nie straciły definitywnie swego charakteru „martwej granicy". Konieczność zapobieżenia niebezpieczeństwu stała się tak paląca, że uznano potrzebę sięgnięcia do środków wyjątkowych. Zjawia się potrzeba wyjątkowego ambasadora. Wybrano wielkiego żołnierza.

Otóż tu otwiera się zagadnienie natury wewnętrzno - politycznej. Okazuje się że po długich rozmyślaniach rząd francuski znalazł człowieka zdolnego wzbudzić pełne zaufanie gen. Franco i reprezentować Francję z należytym prestiżem dopiero w łonie francuskiej armii. Wybór wojskowego nie dowodzi jeszcze sam przez się, iż nie było zawodowego polityka, zdolnego wypełnić owocnie zadanie, które wziął na swe barki marszałek Petain, niemniej tak właśnie stoją sprawy we Francji. Wystarczy zastanowić się parę chwil, aby nabrać takiego przekonania. Ambasador, zawodowy dyplomata, nie odpowiadałby wyjątkowym warunkom misji. Polityk ze środowisk prawicowych byłby niemożliwy przede wszystkim z uwagi na sytuację wewnętrzną we Francji. Rząd Daladiera znajduje się obecnie pod obstrzałem zarzutów, że jest narzędziem w ręku reakcji. Nominacja na ambasadora w Burgos polityka prawicowego wywołałaby niebywałe wrzenie na lewicy, zostałaby określona jako paktowanie francuskiej reakcji z hiszpańską. Niełatwa i tak sytuacja rządu Daladiera stałaby się jeszcze bardziej trudna. Polityk lewicowy jako ambasador przy gen. Franco jest oczywiście nie do pomyślenia, pozostawałoby więc centrum, czyli partia radykalna. Lecz radykałowie, którzy dziś prowadzą politykę wespół z prawicą przeciw lewicy, którzy po upadku Katalonii rzucili się z otwartymi ramionami na spotkanie nowego ładu w Hiszpanii, do niedawna nic nie chcieli uczynić, aby przygotować grunt dla przyszłych stosunków Francji z Hiszpanią gen. Franco. Naodwrót partia radykalna do ostatniej chwili grała na kartę premiera Negrina. Dla gen. Franco radykałowie to jest francuski front ludowy, rodzony brat hiszpańskiego. Żaden polityk, czy prawicowy, czy lewicowy, czy radykał nie był możliwy jako ambasador w Burgos. Ponieważ zaś niezwykła waga i ciężar gatunkowy misji wymagały osobistości wyjątkowej, więc nie wchodził w grę technik dyplomata, Pozostawała tylko możliwość wyboru kandydata z poza życia politycznego.

Lecz osobistość apolityczna dawałaby minimalne gwarancje polityczne. Istota zagadnienia francusko - hiszpańskiego polega na nieufności gen. Franco do Francji, w której stale jest możliwy powrót rządów lewicowych, nastawionych wrogo do frankistowskiej Hiszpanii. Istota zadania nowego ambasadora Francji w Burgos polega zaś na tym, żeby tę nieufność przekształcić w zaufanie, z którego powinna się rozwinąć przyjaźń. Zaufanie gen. Franco mogą wzbudzić tylko słowa Francuza, którego zapewnień nie zdoła unicestwić żadna partia, żadna gra parlamentarna, żadne przesilenie rządowe. Takim Francuzem może być dziś tylko przedstawiciel francuskiej armii. Dlatego też tam, gdzie politycy zdewastowali prestiż i interesy Francji, jedzie jako ambasador najznakomitszy przedstawiciel francuskiej armii. Nie jedzie pertraktować w zwykłym znaczeniu, lecz ratować kraj od politycznej katastrofy.

*

Na Zachodzie zjawiają się nie tylko nowe metody lecz i nowe nastroje. Ujawniają się one nie tylko w odniesieniu do spraw, wynikających z bezpośrednich stosunków między osiami Londyn - Paryż i Berlin - Rzym. Zmiana nastrojów uwidacznia się również, jeśli nie przede wszystkim, w ocenianiu zagadnień wschodnich. Widać to w odmiennym niż przed paroma miesiącami komentowaniu posunięć i zamierzeń polskiej polityki zagranicznej, widać to również w sposobie reagowania na przejawy niemieckiego parcia na Wschód.

W noworocznym numerze naszego pisma stwierdziliśmy, że wytrwałość i niezłomna wola Niemiec rozbiły psychicznie w okresie monachijskim społeczeństwa zachodnie. Szczególnie Francja została zalana przez falę zwątpienia w możliwość i celowość odegrania przez nią aktywnej roli na Wschodzie, została przez Niemcy psychicznie rozbrojona. W przeciwieństwie do świata zachodniego Polska była środowiskiem, zachowującym niezachwiany pokój, środowiskiem mężniejącym w obliczu istniejących niebezpieczeństw, skupiających się i promieniejącym gotowością do walki o prawa własne i bliskich jej moralnie i geograficznie państw. Nastrój wiary w przyszłość, gotowość do potrzebnych poświęceń, spo-

kój i skoncentrowana praca — oto elementy, które Polska wnosiła do sytuacji międzynarodowej w ciężkich momentach pod koniec ubiegłego roku. A były to elementy o znaczeniu rozstrzygającym.

Stwierdzając to wyraziliśmy nadzieję, że „postawa Polski wywoła na Zachodzie prędzej czy później reakcję psychiczną, odwrotną do tej, która nastąpiła po Monachium, po kapitulacji. Przyjdzie dzień, w którym ludzie na Zachodzie zaczną przecierać oczy i uświadamiać sobie, że jednak ziemia nie zawaliła się na Wschodzie od grzmotów, które padły z berlińskiego nieba w okresie monachijskim. Rola, którą Polska odgrywa w zakresie spraw wschodnich jest rolą tego jedynego z tłumu, który podczas paniki nie stracił głowy, od którego energii i zimnej krwi zależy czy da się, czy też nie da, uniknąć katastrofy". — Otóż dzień ten nadszedł. Energia polskiej dyplomacji i postawa społeczeństwa polskiego otworzyły oczy społeczeństwom i rządom zachodnim na rzeczywistą postać zagadnień politycznych w naszym obszarze. Widać to wyraźnie w traktowaniu zagadnień wschodnich przez Paryż i Londyn, w traktowaniu, które nie ma nic wspólnego z nastawieniem z przed kilku miesięcy. Zmieniły się panujące nastroje.

Polska może być z tego dumna. Niewątpliwie odnieśliśmy bardzo wielkie zwycięstwo na płaszczyźnie międzynarodowej. Lecz aby można było powiedzieć, że już definitywnie dało się uniknąć katastrofy, która grozi Europie wschodniej w wyniku systemu pomonachijskiego, trzeba czegoś więcej. Trzeba nowego wysiłku energii naszej dyplomacji i całego społeczeństwa.

ŻYCIE PROWINCJI

Jan Bajorek

O ośrodek naukowo-badawczy ziem południowo-wschodnich

Wydarzenia polityczne ubiegłych miesięcy przyniosły nie tylko poważne zmiany w sytuacji międzynarodowej, ale zwróciły również uwagę na t.zw. zagadnienie ukraińskie. Dotychczas zagadnienie to było niejako jednym z problemów polityki wewnętrznej. Problem ten przechodził różne fazy: miał okresy wysokiego napięcia i okresy całkowitej depresji. Podobnie jak każdy inny problem polityczny.

Błąd zasadniczy tkwi w tym, że zagadnienia narodowościowe ziem południowo-wschodnich przywykło się na ogół określać jako t.zw. zagadnienie ukraińskie, uważając je przy tym za problem czysto polityczny. Jest to uproszczenie nieścisłe, a nawet szkodliwe. Nieścisłe, bo cały szereg zagadnień nie ma nic wspólnego z polityką, — a szkodliwe, bo przez tego rodzaju symplifikację schodzi się na błędne drogi, nie wiodące bynajmniej do poznania, a tym bardziej do rozwiązania problemu. Ziemie południowo-wschodnie, jako teren narodowościowo niejednolity, stanowią splot zagadnień etnicznych, językowych, religijnych, kulturalnych, gospodarczych, a nawet zwyczajowo-tradycjonalnych.

Trzeba walczyć z czysto politycznym podejściem do spraw tych ziem. Muszą być one najpierw gruntownie poznane. Trzeba wydobyć niezbadane czy nieopublikowane dotychczas wartości, opracować je i uprzystępnić społeczeństwu przez odpowiednie publikacje i wydawnictwa. W Polsce na ogół mało się wie o t.zw. „Małopolsce Wschodniej" *), o jej regionaliźmie, dorobku kulturalnym i gospodarczym. Jest ona jedną z najmniej spopularyzowanych dzielnic, chociaż nie można powiedzieć, że się nikt nią nie zajmuje. Owszem, są prace naukowe, poświęcone ziemiom południowo-wschodnim, prace poważne i wyczerpujące, ale niestety mało znane szerszemu ogółowi społeczeństwa. Jest to bez wątpienia poważny brak, którego skutki dają się odczuwać nie tylko w stosunkach wewnętrznych, ale nawet w sytuacji międzynarodowej.

Powiedzenie to nie jest frazesem. Nie tak dawno, bo zaledwie parę tygodni temu, oficjalny organ francuskich kół wojskowych, „La France Militaire", w jednym z artykułów na temat Małopolski Wschodniej dowodził, że ruski obszar etniczny sięga od Wołgi, aż po... Kraków włącznie! Gdyby wiadomość taką zamieściło jakieś pismo polityczne, — można by to przyjąć za zwyczajną złośliwość, spreparowaną dla doraźnego użytku. Jednakże z chwilą, kiedy wiadomości takie zamieszcza organ poważny — trzeba przyjąć, że jest to wynik niczym nieuzasadnionej nieznajomości stosunków w Europie środkowej i wschodniej.

Wypadek ten nie jest odosobniony. Przykładów takich jest wiele. W prasie i wydawnictwach obcych roi się po prostu od kardynalnych błędów o Polsce. Oburzamy się na przysłowiową wprost ignorancję Francuzów czy Anglików w sprawach polskich, — ale trzeba sobie zadać pytanie, czy zrobiliśmy cokolwiek, by temu przeciwdziałać? Czy istnieją jakieś prace w języku francuskim i angielskim, które by popularyzowały wiedzę o Polsce? — Trzeba przyznać, że nie istnieją, a jeśli nawet gdzieś takie prace są, to w każdym razie brak tam jakiejkolwiek monografii ziem południowo-wschodnich, zaopatrzonej w przejrzyste mapy i wykresy.

Pod tym względem ziemie południowo-wschodnie są w najgorszym położeniu ze wszystkich ziem polskich. Opracowane i spopularyzowane jest Podhale, wiele wydawnictw poświęcono już ziemiom śląskim, posiadamy drobiazgowe i gruntowne prace o Kaszubach, Pomorzu, ba, nawet o Prusach Wschodnich, — nie posiadamy natomiast żadnej instytucji, która wydawałaby dzieła, szkice i broszury o dzisiejszej Małopolsce Wschodniej. Jedyne prace, znane szerszemu ogółowi, to dzieła i studia historyczne o Ziemi Czerwieńskiej i Podolu. Badania dzisiejsze, liczne i na szeroką zakrojone skalę, — albo nie wyszły jeszcze poza obręb pracowni naukowych, albo nie docierają do wiadomości szerokiego społeczeństwa.

Popularyzacja Śląska i Pomorza w dużej mierze jest zasługą istniejących tam ośrodków naukowo-badawczych, jakimi są: Instytut Śląski w Katowicach i Instytut Bałtycki w Toruniu. Oba Instytuty grupują odpowiedni zespół uczonych, którzy interesują się zagadnieniami Śląska czy Pomorza. Wyniki prac naukowych ogłaszane są za pośrednictwem biuletynów, czasopism i wydawnictw, redagowanych tak w języku polskim, jak i w językach obcych. Poza pracą naukowo - badawczą i wydawniczą, prowadzą Instytuty jeszcze odpowiednią akcję propagandową, organizując odczyty w kraju i za granicą na temat popularyzowanych przez siebie zagadnień.

Dla ilustracji warto przytoczyć kilka pozycji z dorobku Instytutu Bałtyckiego w Toruniu. Nakładem tego Instytutu wyszedł cykl opracowań pod nazwą „Biblioteki Morskiej", poświęcony dziejom morza w przeszłości i obecnie. Zostały gruntownie opracowane dzieje Prus Wschodnich, sztuka ludowa na Pomorzu, pieśni ludu pomorskiego, etnografia dawnych Prusów i zagadnienia językowe, które jako zbiorowa praca prof. Fischera, Lorentza i Lehra-Spławińskiego — wyszły w języku polskim i angielskim. Instytut Bałtycki prowadzi również wydawnictwo atlasu statystycznego, który w jasny i przystępny sposób rejestruje jakiekolwiek zmiany w układzie językowym, narodowościowym i go-

---

*) Termin „Małopolska Wschodnia", jakkolwiek nieścisły i historycznie nieuzasadniony, jest używany dzisiaj na określenie ziem południowo-wschodnich.

spodarczym na Pomorzu. Z wydawnictw periodycznych wymienić trzeba, — poza biuletynem prasowym — kwartalnik „Jantar", poświęcony sprawom morza i Pomorza, oraz czasopismo w języku angielskim pt. „Baltic and Scandinavian Countries". przeznaczone wyłącznie dla zagranicy.

Jeśli uwzględnimy częściowe podobieństwo sytuacji na Śląsku i Pomorzu z położeniem Małopolski Wschodniej, — to dochodzimy do przekonania, że utworzenie podobnego instytutu we Lwowie staje się paląca potrzebą. Instytut taki, nazwany na przykład Instytutem Ziem Południowo-Wschodnich, miałby podobne zadania, jak Instytut Bałtycki, czy Instytut Śląski. Zadania byłyby podobne, a nie identyczne, bo ziemie południowo-wschodnie, poza odrębnymi właściwościami, posiadają własny uniwersytet we Lwowie, czego nie ma ani Śląsk, ani Pomorze.

Działalność Instytutu Ziem Południowo-Wschodnich nie mogłaby w żadnym wypadku wkraczać w te dziedziny, w których działają pracownie uniwersyteckie. Instytut zająłby się tylko uzupełnieniem prowadzonych już badań, a właściwym jego zadaniem byłoby zestawienie wyników pracy naukowej i działalność popularyzacyjna za pomocą komunikatów prasowych, własnych czasopism i wydawnictw, redagowanych w języku polskim i w językach obcych. Działalność wydawnicza i propagandowo-prasowa, to jednak nie wszystko. Pozostają jeszcze sprawy gospodarcze a przede wszystkim socjologiczne. Charakterystyczną cechą ziem południowo-wschodnich jest brak ustabilizowanych stosunków socjalnych i ich ustawiczna niemal płynność. Zagadnienie to, niezmiernie zresztą ważne, jest nie opracowane. Uniwersytet Lwowski nie posiada katedry socjologii i nie prowadzi specjalnych badań w tej dziedzinie. Zadanie to podjąć powinien Instytut Ziem Południowo - Wschodnich, rejestrując szczegółowo wyniki badań i obserwacji. Rezultaty badań socjologicznych mogą być, podobnie jak w Instytucie Bałtyckim, ujęte w formie periodycznych sprawozdań, ilustrowanych odpowiednimi wykresami. Ten system pracy pozwala na dokładne uchwycenie profilu socjalnego chwili bieżącej i daje jednocześnie retrospektywne ujęcie dokonanych zmian. Prowadzenie zatem badań socjologicznych, wydawanie prac i dzieł z tego zakresu, w połączeniu z odpowiednią akcją prasowo - propagandową, byłoby głównym zadaniem ośrodka naukowo-badawczego ziem południowo-wschodnich.

Tadeusz Nowacki

Poeta który nie znalazł siebie

Może to budzić zdumienie, że Łódź, miasto kominów i bussinesu, wydało cały szereg poetów o mniej zresztą lub więcej znanych nazwiskach. Zwykle z pojęciem poezji łączy się pojęcie czaru i subtelności, a tych trudno może szukać w mieście czerwonych murów fabrycznych, wyboistych jezdni, sadzy i krzywo zbudowanych kamienic. Jednak miasto to wydało Tuwima, słabo zresztą z Łodzią związanego, Piechala, Sowińskiego, Timofiejewa, Dobrzyńskiego, Sarneckiego, Kamińskiego i w chwili obecnej posiada aż trzy pisma literackie.

Pomimo ogromnego spiętrzenia sił życiowych, mnogości rażących kontrastów, żywości tętna zdarzeń, Łódź nie znalazła dotąd odpowiedniego wyrazu w literaturze. Zagłębie znalazło to odbicie na kartach Żeromskiego, Struga, Bandrowskiego. Łódź ma tylko kapryśną karykaturę w reymontowskiej Ziemi Obiecanej, nie sięgającą do najpotężniejszych nurtów polskiego Manchesteru.

We wszystkich próbach podejścia do Łodzi, jako tematu literackiego wybijają się wyraźnie dwa momenty: moment egzotyzmu i moment sentymentalizmu. Oba jednak choć są charakterystyczne, nie są dla Łodzi najistotniejsze. Zygmunt Bartkiewicz pisze, że jest w Polsce takie miasto — złe — i jakże obłudne, bo jakby w welon żałobny spowite, a drwiące ze śmierci. Tysiące szczytów wyniosło w podniebie wysoko a spodem we krwi się płuży. Nieugięte moc czerpie z wiotkich kwiatów bawełny a z martwego złota życie. Występkom zawdzięcza zasługę...

Może tylko Bartkiewicz zachował do Łodzi tak wielką awersję. Łodzianie, znajdujący się poza miastem rodzinnym raczej do niego tęsknią. Tuwim ma dziecinną czułość i młodzieńczy sentyment za czasem młodych lat, spędzonych w murach Łodzi. Tęskni do Łodzi Piechal, odbija się Łódź pozytywnie na twórczości Mieczysława Brauna, Wł. Słobodnika, Kołonieckiego — odbłysku jej nie widać może tylko u Jastruna.

W mieście paradoksalnych kontrastów współczesności, gdzie obok wyrafinowanych urządzeń technicznych istnieje prosta i czarna nędza, gdzie problem wyzysku pracy i przykucie doli robotnika do zwycięskiego rydwanu Eitingonów czy Kindermanów góruje nad wszystkim należy się spodziewać, że stosunki ekonomiczne znajdą swój silny wyraz i w poezji. Rzeczywiście większość poetów łódzkich rozpoczynała od silnego radykalizmu społecznego, którego ostrze zanikało powoli w miarę dalszej twórczości.

Spośród tych poetów, u których związek z Łodzią uwydatnił się silnie przez prześwietlenie twórczości problemami społecznymi, jednym z najwięcej utalentowanych jest Marian Piechal. Wydał on dotąd cztery zbiorki: „Krzyk z miasta", „Elegie całopalne". „Garść popiołu i „Srebrną wagę", ponadto „Rozmowy o pacyfiźmie" dialogi: „Anioł i Jakób" oraz rozprawę o Norwidzie.

Piechala jako poetę cechuje bogactwo ornamentyki literackiej, celowość i trafność metafor, których dobór wskazuje już na silne związanie poety z miastem. Szczególne nagromadzenie spotykamy np.: „W rytmie maszyn".

W apreturach, tkalniach szpinerniach,
przy flajerach i selfaktorach, —
trud nam ręce zgrubił, poczernił,
pot bruzdami twarze poorał.

Zawsze, zawsze we dnie, czy we śnie
gniew jest w oczach i w słowach naszych,
krzywda w każdej zaklęta pieśni,
pieśń wydarta z łoskotu maszyn.

Pędu fabryk nic nie wstrzyma,
pieśni naszej nikt nie uciszy,
wciąż przy gremplach i dampf-maszynach
stać musimy my, robotnicy!

lub taki przepiękny obraz — „Venus fabrycznej"

Przecież jeszcze niedawno zdało się tak mocno
Pan Bóg piękno ze zdrowiem nazawsze w tobie sprzągł,
piersi oparł prężne, owocne
o gałęzie kwitnących rąk.

Oczy nalal błękitem, usta — miodem, głos — srebrem,
Przędzalnia trzęsła się w śmiechu jazgotliwych wrzecion.

Oczywiście nie znaczy to wcale, abyśmy równie celowej metaforyki nie spotykali, gdy poeta czerpie poetycki materiał z przyrody. Dziecko Łodzi przedziwnie umie odmalować nastroje zmierzchu i świtu, południa i nocy. Oto kilka zwrotek z „Odyssei":

Słońce mnie w drodze opuści pod wieczór,
by zrana kłosem wystrzelić z nad łąk,
skąd go powitam, jak osty i mlecze,
dwukwiatem oczu i dwuliściem rąk.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Wieczór się będzie płomieniem jaskrawił,
krwawił spód chmurek, czernił cieniem wierzch,
klangor tęskliwy lecących żórawi
dymem rozsnuwał w fioletowy zmierzch.
Niby ogarek po zdmuchniętej świecy,
dzień na zachodzie cicho będzie gasł,
aż niebo rosą pocznie w trawy lecieć
w srebrnej ulewie ciężkich kropel gwiazd.

I tak powoli, lekko, nieuchwytnie
trzykroć się zdrzemnę, nim zapieje kur,
a księżyc kwiatem tytoniu zakwitnie
wpośród zielonych, bladych listków chmur.

W twórczości poety wyodrębnić możemy niezmiernie ciekawą linię ewolucyjną. Uchwycił ją dobrze p. T. Czapczyński (T. Czapczyński: Marian Piechal, Łódź, 1937). Coraz ciszej odzywają się w twórczości poety tony społeczne. Namiętny okrzyk buntu, jakim był „Krzyk z miasta" buntu, w którym poeta walczył o wyrównanie krzywdy, powoli zanika. Tematy tomu są wzięte z życia miasta: fabryka, dziewczyny ulicy, koń, strajk, bunt — oto są motywy tego tomu. Za jego syntezę uważać można ostatnią zwrotkę wiersza o sobie:

przed jednem się tylko nie zegnę
buntem płomiennym objęty;
przed krzywdą ludzką, — aż będę
przeklęty lub wniebowzięty!

W następnych tomach odbiega poeta od swego programu. Poczyna w nim przeważać element dośrodkowy, skupienie w sobie, choć jednocześnie nabiera rozmachu, rzucając pewne problemy artystyczne na szersze tło zdarzeń. Należy tu wiersz o Żeromskim, „Itaka Conrada", „Litanja strzelista" i prawie wszystkie wiersze zawarte w „Elegiach całopalnych". Najdobitniejszą pointę ma wiersz „Pożegnanie Norwida", w którym poeta chce przewalczyć norwidowską „siłę fatalną":

— Przeciw Tobie idziemy, Twoje zrodziły nas kości,
rytmem Twego rapsodu parci jak starą ostrogą, —

aż się wola wyrówna i bohaterstwo uprości, —
żyć chcąc szerzej i wznioślej, umierać ciszej
i prościej!

Żegnaj — Cieniu — — — —

Powróci jeszcze nuta społeczna w „Garści popiołu" choć nie będzie dźwięczała już tym bojowym rozmachem, jaki posiada „Krzyk z miasta". W „Srebrnej wadze" natomiast moment społeczny ujawni się tylko już w jednym wierszu, a uwaga skupi się na człowieku. Człowiek, żywy kalendarz o kilku tysiącach dni, stanie się ośrodkiem tomu.

Niemniej niż od gwiazd człowiek odległy od siebie,
zamyka się, złożony z dni swoich, jak księga.
Ogromnieje w nim otchłań niemniej niż ta w niebie,
im głową bardziej białą ziemi czarnej sięga.

Przy czytaniu poezji Piechala, wyczuwa się nieuchwytną nutę jakiegoś niedostrojenia wewnętrznego poety i treści niektórych wierszy. Śledząc całą ewolucję twórczości, można by zaryzykować twierdzenie, że poeta ciągle nie doszedł jeszcze do najwłaściwszego dla siebie tonu. Mimo przepięknej formy obrazowania, czytelnikowi czegoś jeszcze brakuje. Może to jest to, o czym pisze w „Srebrnej wadze" — tajemnica:

Nikła gwiazda na niebie, we wodzie odbita,
widmem niesamowitem głąb zmierzchu nasyca
Zasypia zwolna ziemia, ciemnością nakryta,
i ja, najboleśniejsza ziemi tajemnica.

Mam jednak to wrażenie, że w poecie musi jeszcze nastąpić krótkie spięcie wewnętrznych sił i nowy głos wydobędzie w swej poezji. Może warto szukać jak zapowiedział w „Krzyku z miasta":

Wiem: muszę szukać zguby jagnięcej
dni wiele i noc nie jedną —
zanim się wzniesie z ołtarza serca
ofiarą całośpiewną.

Na to czekają wielbiciele jego wielkiego talentu.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Jan Gwalbert Pawlikowski

Stronnictwo Narodowe, dotknięte niedawno przez śmierć Romana Dmowskiego, poniosło nową ciężką stratę. Znaczenie polityczne tej straty jest niewątpliwie nieporównanie mniejsze. W bogatym i szczególnie pełnym życiu J. G. Pawlikowskiego działalność polityczna była tylko uzupełnieniem wyjątkowej wprost wszechstronności zainteresowań i uzdolnień.

Na pierwszym chyba miejscu wśród tych zainteresowań postawić należy działalność Zmarłego zarówno w zakresie praktycznego rozwoju taternictwa, jak też w zakresie walki o ochronę przyrody w Polsce. Towarzysz — w latach młodzieńczych — wypraw ludzi, których nazwiska dzisiaj brzmią jak dalekie echo przeszłości: Ludwika Świerza, Adama Asnyka, ks. Eugeniusza Janoty, Aleksandra Jabłonowskiego, samego nawet d-ra Tytusa Chałubińskiego — sześćdziesiąt lat temu, w roku 1880, otwiera nową epokę taternicką zdobyciem uważanego wówczas za niedostępny Mnicha. W zakresie ochrony przyrody jest wyjątkowo wytrwałym, niezmordowanym w walce szermierzem, czy to jako redaktor „Wierchów", czy jako Autor szeregu artykułów i prac poświęconych sprawie ochrony przyrody — przede wszystkim górskiej — czy wreszcie jako ostry i zapalny, jeszcze nawet w ósmym dziesięcioleciu życia, polemista. Zamknięciem tej strony zainteresowań i walki stał się gruby i piękny tom, wydany przed kilku miesiącami nakładem Kasy im. Mianowskiego, p. t. „O lice ziemi". Rzadki to istotnie wypadek, by człowiek osiemdziesięcioletni zdolny był do tego rodzaju przejawu niezmordowanej i owocnej aktywności.

Inną dziedziną ubocznych niejako, bo pozazawodowych, zainteresowań Zmarłego Profesora Ekonomii Rolnej w Dublanach była poezja Słowackiego, w najtrudniejszym, mistycznym, okresie twórczości. I tutaj znowu stwierdzić trzeba, że ten rolnik i profesor ekonomii osiągnął w zakresie tego ubocznego zainteresowania rezultaty najwyższej miary, czy to jako autor „Mistyki Słowackiego", czy jako wydawca wyjątkowego wprost w dokładności, gruntowności i sumienności opracowania dwutomowego wydania „Króla-Ducha" z roku 1925. Ogrom pracy włożonej w badanie rękopisów, porządkowanie odmian, przygotowywanie komentarzy, przede wszystkim zaś we wszechstronne przygotowanie się do tak trudnego i wymagającego wszechstronnej erudycji dzieła — jest istotnie zadziwiający, szczególnie jeśli się przyjmie pod uwagę, że dokonywał się bez pomocy całego aparatu normalnej pracy i pomocy naukowej, z których korzysta się w pracowniach i seminariach uniwersyteckich.

Równocześnie podkreślić należy, że rezultaty tego rodzaju, osiągane w tak różnych dziedzinach zainteresowań, nie oznaczały zupełnie oderwania się od czynnego organizacyjnego życia. Zainteresowania zarówno społeczne, jak polityczne Zmarłego były zawsze żywe. Związany — od lat kilkudziesięciu — z działalnością Ligi Narodowej i Stronnictwa Narodowego był jednym z tych ludzi, którymi Stronnictwo to istotnie mogło się chlubić. Nic też dziwnego, że w wydanej przed laty kilku książce Zygmunta Wasilewskiego działalność J. G. Pawlikowskiego omawiana jest z uzasadnioną dumą, jako wyjątkowe zjawisko kulturalne.

Wyjątkowość tego zjawiska przyznać należy, jeśli się jest nawet dalekim od obozu politycznego, z którym związała się organizacyjna praca Zmarłego. Jeśli znamieniem istotnej kultury jest między innymi zdolność żywej reakcji na piękno, to stwierdzić trzeba, że zmarły przed kilkunastu dniami Jan Gwalbert Pawlikowski zdolność tę posiadał w stopniu wyjątkowo wysokim, umiejąc związać się w całym swym osiemdziesięcioletnim życiu ze zjawiskami piękna w tych jego przejawach, w których występuje ono w sposób najbardziej bezpośredni i niezależny od przemijających gustów, to jest w dzikiej pierwotnej przyrodzie oraz w istotnie wielkiej poezji.

W życiu umysłowym Polski współczesnej śmierć J. G. Pawlikowskiego stwarza wyłom poważny, pozbawiając to życie jednego z najwszechstronniejszych i najpełniejszych przedstawicieli naszej współczesnej kultury.

Na marginesie

PRZEMÓWIENIE ALEKSANDRA PRYSTORA

Na wstępie chcemy zaznaczyć z naciskiem: bardzo szanujemy postać i prace p. sen. Aleksandra Prystora. Jako zaufany i bliski współpracownik Józefa Piłsudskiego, jako kilkakrotny minister w różnych resortach, jako wreszcie Premier Rzeczypospolitej w bardzo ciężkim gospodarczo okresie naszych niedawnych dziejów — Aleksander Prystor miał jedną wyjątkową wprost cechę charakteru: przyjmował posterunki i prace najcięższe, nie obawiał się niepopularności, związanej z wykonywaniem obowiązków państwowych w sposób twardy, nieliczący się z przyzwyczajeniami i przywilejami tych, których musiał postawić twarzą w twarz ciężkiej nieraz rzeczywistości naszego życia. Ludzie tego typu są naogół wielką wartością społeczeństw, w których żyją.

Szanujemy bardzo b. premiera i dzisiejszego senatora Aleksandra Prystora. Nie znaczy to jednak, byśmy zawsze podzielali jego poglądy. Jesteśmy zdecydowanymi przeciwnikami tezy, że szanować można tylko przyjaciół politycznych, czy też, odwrotnie, że jeśli się kogoś szanuje, to w konsekwencji należy mu zawsze i we wszystkim przyznawać rację.

Ostatnie przemówienie p. sen. Aleksandra Prystora, wygłoszone w Senacie w dniu 9 marca r. b., wywołało szereg ocen wysoce entuzjastycznych. Przemówienie to istotnie zawierało wiele bardzo słusznych, trafnych i rzeczowych ocen. W całości można by je było uważać za wysoce pożyteczne. Jednakże zawierało ono również i pewne aluzje polityczne, do których nie można ustosunkować się bezkrytycznie. Nie jest rzeczą wypadku, że właśnie te polityczne aluzje zostały przez pewien odłam prasy, przede wszyst-

kim więc przez odłam, reprezentujący tęsknotę do dawnego B.B.W.R. z jego prawym i wybitnie konserwatywnym skrzydłem, podchwycone jako najwyższa wartość i najbardziej obiektywna prawda.

Aluzje te, musimy otwarcie powiedzieć, nie mogą być traktowane i rozpatrywane w zupełnym oderwaniu od osoby, z której ust wyszły. To, co by nie dziwiło w ustach p. Niedziałkowskiego, czy Rybarskiego, w ustach p. Aleksandra Prystora dziwić może i musi. Jeśli się mówi ostro o mechanice rządzenia w dzisiejszej Polsce, to nie można zamykać oczu na fakt, że mechanika ta nie jest bynajmniej wytworem ostatnich dwóch lat, że sięga ona znacznie dawniej, do lat i okresów, za które nie dzisiejszy gabinet i nie dzisiejsza administracja ponosi odpowiedzialność. Jeśli się porusza sprawę autorytetu władzy, poszanowania prawa, poczucia godności obywatelskiej, narodowej i państwowej — to wszystko to są rzeczy niezmiernie słuszne, pożyteczne, piękne, których nigdy dostatecznie mocno się nie podkreśli. Jeśli jednak — a w sposobie podania tego przez znaczną część prasy tak to wygląda — ma to być polityczna aluzja do stanu obecnego, to trzeba pamiętać nie tylko to, że niedoskonałość poczynań jest rzeczą ludzką, lecz i to, że kto daje ciemny obraz teraźniejszości, musi tę teraźniejszość przyjmować nie w teoretycznym oderwaniu lecz jako etap pewnej ewolucji. Wówczas może barwy stanu dzisiejszego wypadłyby łagodniej.

Najważniejszym i najskwapliwiej przez część prasy podchwyconym momentem przemówienia był ustęp, mówiący o tym, że wybory Prezydenta Rzeczypospolitej powinny być dokonywane nie przez parlament, „wybrany na podstawach uznanych przez wszystkich za niewystarczające". Zdanie to, w komentarzach prasowych, brzmiało wyraźniej, że izby obecne nie mają prawa dokonania wyboru Prezydenta Rzeczypospolitej.

Nie będziemy powracali tutaj do dyskusji merytorycznej. Jednak — przy postawieniu podobnej tezy, właśnie przez sen. Aleksandra Prystora — trudno się oprzeć nasuwającemu się wspomnieniu, które przypomina, że nie dalej jak przed sześciu miesiącami istniały izby parlamentarne, różniące się od obecnych tylko tym, że były oparte nie o większość, lecz o mniejszość uprawnionych do głosowania obywateli. Na czele jednej z tych izb stał pułk. Walery Sławek, na czele drugiej — senackiej — sen. Aleksander Prystor. Otóż izby te — oparte na mniejszości wyborców — miały dokonać wyboru Prezydenta Rzeczypospolitej, przyczym żaden z Marszałków tych izb, w żadnej postaci, nie dał wyrazu swym wątpliwościom co do formalnego czy moralnego prawa tych izb do dokonania wyboru. Dzisiaj natomiast zjawia się troska o mniejszość, która udziału w wyborach odmówiła. Ten ibsenowski pogląd, że „mniejszość zawsze ma rację" z punktu widzenia państwowego jest poważnym niebezpieczeństwem.

Nawrócenie Aleksandra Prystora wywołuje, oczywiście, dużą radość w niektórych kołach opozycyjnych. I nic dziwnego, według określenia Biblii większa jest radość z jednego nawróconego, niżeli z dziesięciu sprawiedliwych. Ba, lecz warunkiem rozgrzeszenia w kościele katolickim jest zawsze skrucha, jako wyraz woli niegrzeszenia więcej. W danym wypadku nie wiemy, czy sposób postawienia sprawy w przemówieniu z dnia 9 b. m. był wyrazem zupełnej zmiany poglądu w stosunku do ubiegłego roku, czy też tylko wyrazem pewnego nastroju, czy pewnych sugestii, wyolbrzymionych w następstwie przez prasę, której tego rodzaju formuły odpowiadały.

Raz jeszcze podkreślamy. Dając szczery wyraz naszym wątpliwościom w stosunku do pewnych aluzji politycznych, zawartych w przemówieniu b. premiera, czynimy to nie dlatego, byśmy chcieli w ten sposób obniżać jego autorytet osobisty, lecz dlatego, że szczerość w wypowiadaniu sądów uważamy za podstawowy warunek istotnie poważnego stosunku zarówno do spraw, jak i osób.

ROTMISTRZ GALOPUJĄCY W PRZESZŁOŚĆ

Były wybitny działacz i sekretarz B. B. W. R., pan rotmistrz Dudziński, zaprodukował w Sejmie atak silnego zdenerwowania spowodu niedostatecznej rzekomo ochrony przez Sejm honoru jednego z posłów, nieprzyjętego przez urzędnika Ministerstwa Rolnictwa na zlecenie Ministra.

W chwili pisania tych słów tło sprawy nie jest dostatecznie jasne. Powodem odmowy przyjęcia mogły być względy natury zasadniczej, więc chęć ograniczenia odradzającej się a tak niegdyś ostro przez B.B. W. R. dyskwalifikowanej metody interwencji poselskiej, mogły być i bodajże były również względy natury personalno-honorowej: występujące u ministra poczucie obrazy formą uprzedniej krytyki ze strony interweniującego posła.

W pierwszym wypadku pozycja ministra byłaby bardzo mocna. Ustalenie zasady, że minister nie ma prawa odmówić przyjęcia p r y w a t n e j *interwencji poselskiej byłoby czymś dalej idącym, niżeli jakiekolwiek złe obyczaje sejmów przedmajowych. Z reprezentanta Narodu w parlamencie czyniłoby specjalnie uprzywilejowanego pośrednika prywatnego. W drugim wypadku byłaby to sprawa honorowa między dwoma panami, która — na życzenie obrażonego posła i w razie niezałatwienia jej na innej drodze — mogłaby znaleźć oparcie również i o odpowiednie czynniki sejmowe, więc o Marszałka Sejmu i sąd marszałkowski — w postaci pytania, czy obrażony przez odmowę przyjęcia poseł dał istotnie powód do obrazy przez formę swojej krytyki parlamentarnej. W obu wypadkach obrażonemu posłowi pozostaje prawo negatywnego ustosunkowania się politycznego do winnego takiej decyzji ministra.*

Poseł Dudziński w danym wypadku stawia inną zasadę. W myśl tej zasady w razie zatargu między ministrem i posłem sejm, wychodząc z założenia, że honor posła jest honorem innorodnym i wyższego rzędu, niżeli honor ministra, wydaje bez rozpatrywania sprawy wyrok w postaci odmowy współpracy z ministrem.

Zasada tego rodzaju w ustach każdego parlamentarzysty byłaby bardzo dziwna i niezdrowa. W ustach przedstawiciela dawnego B. B. W. R., który przez lata całe walczył z każdą formą przywileju poselskiego, jest czymś absolutnie niezrozumiałym.

Krótko mówiąc: Poseł Dudziński domaga się, aby do ustawowych praw posła — niejako obok wyśmiewanych przez Marszałka Piłsudskiego „fotelu, hotelu, serdelu i burdelu" — dodać jeszcze coś w rodzaju w z a j e m n e j a s e k u r a c j i h o n o r u, *uwalniającej posła od zwykłej troski każdego obywatela o to, by honor jego był nienaruszony.*

Z tego rodzaju poglądem walczyć trudno. Sprawy honoru są sprawami subiektywnego odczucia. Warto jednak przypomnieć, że ta właśnie sprawa znalazła w swoim czasie wyczerpujące oświetlenie w wypowiedzi Marszałka Piłsudskiego z dnia 18 marca r. 1930 „O motywach uchylenia się od misji tworzenia rządu" w słowach:

> *„Wreszcie przechodzę do trzeciej prawie niemożliwości mego współżycia nawet z sejmem, już nie mówię o współpracy. Mówię tu o poczuciu honoru. Gdy myślę o honorze, zawsze przypominam sobie moje próby określenia honoru i potrzeby jego w życiu, którą zawsze mam w pamięci. Mianowicie, że honor jest surogatem cnoty i dlatego jest bardzo potrzebny w życiu. Cnota tak wysokie stawia od człowieka wymagania, że rzadko człowiek może odpowiedzieć wymogom cnoty. Honor zaś, idąc niżej od cnoty, wymaga znacznie mniejszych wysiłków ludzkich dlatego, by się utrzymać na przeciętnej ludzkości. Ja osobiście, o ile sobie przypominam, nigdy w życiu nie potrafiłem naruszyć granic honoru i dlatego jestem niezmiernie wrażliwy, gdy wymogi honoru są naruszane z widoczną dla niehonorowego człowieka łatwością. Niestety, panowie posłowie już w samym początku istnienia u nas sejmu poszli na drogę wymazania ze słownika swego słowa „honor". Ba, więcej — urządzono się w ten sposób, aby nieodpowiedzialność posła rozciągnięto obowiązkowo dla posła w kierunku nieodpowiedzialności honorowej. Tak daleko, jak świat cywilizowany sięga, nie poszła żadna instytucja, żadna grupa, żadne stowarzyszenie, a tym bardziej żadna instytucja o państwowym charakterze".*

A dalej:

> *„I jedynie w ostatnich czasach, gdy spowodu ostatnich wyborów weszło do sejmu grono ludzi całkiem świeżych, którzy z brudami panów posłów nie mieli do czynienia, mam nareszcie w tym samym sejmie najliczniejszy klub, mianowicie — klub Bloku Bezpartyjnego, który publicznie się wyrzekł przywileju nie-*

tykalności poselskiej, łącząc to razem z unikaniem nieodpowiedzialności honorowej".

Poseł Dudziński dzisiaj chce walczyć o tezę, że poseł ma honor inny, lepszy niżeli nie-poseł i że na straży poselskiego honoru z zasady stoi nie on sam, lecz Sejm, jako instytucja. Jest to nic innego, jak ponowne wejście na drogę honorowej nieodpowiedzialności. Obrona honoru jest prawem i obowiązkiem każdego — nie może jednak być ludzi, którzy by mieli coś w rodzaju opartego o wzajemną asekurację przywileju honoru. Dziesięć lat temu B. B. W. R. rozumiał to doskonale.

MINISTER I WICEMINISTER

Mniej czy więcej sensacyjne przewidywania, związane z obsadą stanowiska wiceministra w Ministerstwie Oświaty, nie sprawdziły się. Wiceministrem został mianowany urzędnk, współpracujący od dłuższego czasu z obecnym Ministrem.

W sposobie załatwienia tej sprawy należało by widzieć symptom wzmocnienia stanowiska min. Świętosławskiego. Niezależnie jednak od tego zastąpienie p. pułk. Ferka-Błeszyńskiego i dyskusje z tym związane nasuwają inną uwagę, bardziej ogólnej i zasadniczej natury.

W różnych państwach różne wytwarzają się obyczaje w zakresie wzajemnego stosunku ministra i jego najbliższych współpracowników. We Francji, gdzie często zmieniający się minister nie ma przeważnie dobrego pojęcia o sprawach swego resortu, wiceminister jest z reguły najlepszym fachowcem w zakresie tego resortu, urzędnikiem czy nawet biurokratą, współpracującym z ministrami-politykami, niezależnie od reprezentowanego przez nich ogólnego kierunku politycznego. W Stanach Zjednoczonych wiceminister, podobnie jak minister, będzie związany ze zwycięstwem wyborczym jednej z dwóch wielkich grup politycznych i będzie z natury rzeczy najbliższym współpracownikiem ministra, skazanym na podzielenie jego losów. W Polsce wytworzył się — oczywiście nie zawsze i nie wszędzie — pewien specyficzny klucz doboru wiceministrów pod kątem reprezentowania przez nich — przynajmniej w pewnych dziedzinach — właśnie odmiennych tendencji, niżeli te, które reprezentuje minister: ma to być pewnego rodzaju klapą bezpieczeństwa przeciwko jednostronności generalnej linii. W myśl tej zasady p. min. Poniatowski powinien mieć jako jednego przynajmniej z wiceministrów przedstawiciela ziemiaństwa, min. Świętosławski wiceministra Ferka-Błeszyńskiego, lub posła Stahla, min. Kwiatkowski, wiceministra posła Lechnickiego, jeśli już nie pułk. Wendę itp.

Nie chcemy tutaj dotykać słuszności czy niesłuszności linii reprezentowanej przez jakiegokolwiek ministra i opornie z tą linią współpracującego wiceministra. Chodzi nam raczej tylko o metodę rozumowania, która daje tego rodzaju konsekwencję. Wydaje nam się, że taki sposób załatwiania sprawy może być szczęśliwy tylko w wyjątkowych wypadkach, generalnie jest niebezpieczny.

I stąd wydaje nam się, że metoda załatwienia sprawy nominacji nowego wiceministra oświaty jest lepsza, niżeli te, które były wymienione w związanych z ustąpieniem wicem. Błeszyńskiego dyskusjach. Odpowiedzialność za kierownictwo ważnych dziedzin życia państwowego powinna być wyraźna i nie zaciemniana przez nienaturalnie wytwarzany dualizm dążeń. Metoda francuska — ogólnego politycznego kierownictwa Ministra i urzędniczej fachowości zdolnego do szczerej współpracy wiceministra — wydaje się tu najbezpieczniejsza.

NOTATNIK POLEMICZNY

POROZUMIENIE W SPRAWIE »ŚWIĘTOMARCIŃSKIEGO KRAMIKARSTWA«

W poprzednim numerze zamieściliśmy korespondencję z Poznania, której autor omawiał stosunek poznańskiego „Obozu Narodowego" do spraw kulturalnych, poddając krytyce przede wszystkim projektowane skreślenia w dziale wydatków społecznych i kulturalnych m. Poznania oraz niektóre poczynania endeckiej „oficyny" świętomarcińskiej, ściślej niefortunne wzorowanie wydawanej przez tę oficynę „Ilustracji Polskiej" na „Berliner Illustrierte Zeitung".

Na artykuł ten udzielił w Nrze z dnia 9.III. rb. odpowiedzi „Kurier Poznański". Sądząc z tej odpowiedzi — mimo jej niegrzecznego tonu — lekcja została zrozumiana całkowicie, nastąpiła skrucha i obecnie jest już tylko sprawa niegrzeszenia więcej. Bo:

na temat uchwał budżetowych „Kurier Poznański" pisze:

> *„Naprawiacki „Naród i Państwo" rozprawia się wielce gwałtownie z Klubem Narodowym w poznańskiej Radzie Miejskiej za jego stosunek budżetowy do spraw kulturalnych. Rzeczywistych uchwał budżetowych w plenum Rady zirytowany autor nie odczekał"...*

Oświadczenie to przyjmujemy z całą dobrą wiarą. Rozumiemy je w ten sposób, że rzeczywiste uchwały plenum Rady będą inne, niżeli pierwotne „niekulturalne" wnioski Klubu Narodowego. Jeśli tak — to wszystko w porządku. Skrucha i chęć poprawy zawsze znaczą bardzo wiele.

Podobnie rozumiemy i następny ustęp, dotyczący „Ilustracji Polskiej", brzmiący:

> *„Ten sam artykuł organu naprawiackiego wojuje namiętnie z naszym wydawnictwem. „Ilustracja Polska" jest do niczego. Właściwie w artykule tylko o tym się mówi. Widocznie wysiłek kulturalny „Kuriera Poznańskiego" równa się zeru".*

Można to zrozumieć tylko w ten sposób: „Ilustracja Polska" jest istotnie do niczego, okoliczność łagodzącą stanowi jednak fakt, że „Kurier Poznański" jest lepszy. Nie przeczymy, wystarcza nam zgodność poglądów na fakt, że z punktu widzenia kultury polskiej „Ilustracja Polska" jest do niczego.

Najobszerniej potraktowany jest ostatni i najkrótszy fragment korespondencji poznańskiej naszego Autora, dotyczący pysznienia się poznańskich „narodowców" z faktu pośmiertnego wykonania portretu Dmowskiego przez bułgarskiego malarza. „Kurier Poznański" stara się zbagatelizować znaczenie tego faktu, pisząc:

> *„portret pędzla p. Stefanoffa — nawiasowo powiedziawszy nieudany — to jego oczywiście zupełnie prywatna rzecz".*

I znowuż, jeśli tak, to wszystko w porządku. Nasz Autor zastrzegał się bardzo wyraźnie, że występuje nie przeciwko faktowi malowania portretu przez p. Stefanoffa, lecz przeciwko nadawaniu temu znaczenia politycznego, przeciwko pysznieniu się z tego faktu. Z obecnym sposobem postawienia sprawy przez „Kurier" jesteśmy znowu zgodni całkowicie.

W ten sposób porozumienie zostało osiągnięte we wszystkich punktach. Obecnie czekamy tylko na wyciągnięcie przez radnych endeckich i przez świętomarcińską oficynę konsekwencji z tego łatwego porozumienia.

Adres Redakcji i Administracji
Warszawa, Żurawia 7 m. 30, t. 809.20.

NOTATNIK GOSPODARCZY

Ogień i woda

(aa) Jeśli świadomość potrzeb gospodarczych w ostatnich latach w naszym kraju znacznie wzrosła, to nie można tego niestety powiedzieć o świadomości gospodarczej, którym to pojęciem określilibyśmy przede wszystkim rozumienie procesów gospodarczych i zdolność myślenia kategoriami ekonomicznymi. Omawia ten problem w dowcipny sposób „Gospodarka Narodowa" (nr. 4), podkreślając, że dzięki propagandzie społeczeństwo polskie jest „zorientowane, uświadomione i ustawione (jak zwrotnica)". Wysuwa wielką ilość postulatów, życzeń, próśb, projektów, rezolucji, wezwań, nie zdając sobie sprawy, że między wieloma z nich istnieją zasadnicze sprzeczności, „zazdrość i konkurencja", że „jeden problem wyklucza drugi".

Obywatel pragnąłby, aby podatki były najniższe, ale żeby państwo przynosiło mu codziennie przysłowiową kurę w garnku. Domaga się hiperinflacji i utrzymania kursu złotego, dewaluacji, która zmazuje zadłużenie i wielkich kredytów na operacje przemysłowe i handlowe. Nie powinno się ograniczać przywozu rzeczy niezbędnych, ale jednocześnie dążyć do autarkii. Dalsze postulaty to polityka wielkomocarstwowa całkiem niezależna i dużo tanich kredytów zagranicznych. Te ostatnie powinny naturalnie służyć zbrojeniom, ale także inwestycjom drogowym, elektryfikacyjnym, sfinansowaniu przywozu surowców i wysiedleniu Żydów z Polski.

W imporcie musi być przeprowadzona zasada koncentracji, ale nowi, chętni do korzystania z kontyngentów amatorzy powinni być mile widziani. Trzeba nawoływać ludność wiejską aby garnęła się do handlu i wyrabiała ducha pionierskiej przedsiębiorczości a także faworyzować i popierać ruch spółdzielczy, który ma korzystać z przywilejów wyłączności. Miasta będą musiały być unowocześnione. Bez obciążania podatników w każdym mieście będzie musiała być wyższa uczelnia, opera, metro itd. itd. Inicjatywie prywatnej powinno się zapewnić maksimum (wiadomo czego), co nie znaczy, że państwo ma zrezygnować z interwencjonizmu i etatyzmu. Kapitał obcy jest wręcz niebezpieczny, ale drobnej i średniej przedsiębiorczości ani się umywać do wielkich koncernów i trustów. Robotnik dobrze płatny, bezrobocia nie ma, ochrona celna jak najwyższa, rolne i przemysłowe artykuły jak najbardziej rentowne, do eksportu dopłaca państwo, BGK. ratuje wielkie przedsiębiorstwa, którym się nie powodzi, PBR. wielką własność... W zamian wolno wymyślać na etatyzm...

Pojęcia te powstały — pisze „Gospodarka Narodowa" — w „bogatej wyobraźni biednego społeczeństwa, któremu się zdaje, że można połączyć ogień z wodą lub równocześnie stać, siadać, skakać". — Wydaje się nam, że powyższy zamęt myślowy spotęgowany jest również łatwowiernością mas, które zbyt często biorą na serio „okrągłe formułki", w jakie obfitują u nas publiczne wypowiedzi w sprawach gospodarczych, tak zazwyczaj skonstruowane, by nikogo nie urazić. Pod tym względem dyskusja sejmowa o kartelach, o której piszemy na innym miejscu, stanowiła na ogół chlubny wyjątek.

Kto ma zarabiać na imporcie

(aa) Jeśli już mowa o sprawach organizacyjnych naszego życia gospodarczego, warto wspomnieć o konferencji importowej, jaka odbyła się w pierwszej dekadzie marca w Warszawie w obecności kilkuset przedstawicieli sfer przemysłowych, oficjalnych i naukowych. Obecność „wysokich" przedstawicieli władz z ministrem Romanem na czele oraz reprezentacyjny charakter konferencji obniżyły zdecydowanie temperaturę obrad, jednakże w poszczególnych wystąpieniach zarysował się wyraźnie podział między interesami przemysłu sprowadzającego surowce z zagranicy oraz handlu importowego. Zanim je scharakteryzujemy, nakreślmy tło ogólne:

Przywóz surowców z zagranicy odbywa się na zasadzie udzielanych pozwoleń przywozowych, rozdzielanych między poszczególnych importerów. Jest on bardzo silnie rozdrobniony, pozwolenia opiewają częstokroć na niewielkie kwoty. Biorąc pod uwagę nikłe rozmiary przywozu polskiego w porównaniu z cyframi handlu światowego, stan powyższy stawia naszych importerów w sytuacji b. niekorzystnej. Dla wielkich firm zagranicznych są oni kontrahentami słabymi, o których nie warto się ubiegać i z którymi można się nie liczyć. Rezultat — płacimy za importowane towary, nawet na wolnych rynkach, ceny znacznie wyższe niż państwa lepiej organizacyjnie przygotowane, otrzymujemy gorsze warunki kredytowe. Przyczynia się do tego również zespół warunków, które za granicą określają mianem „polskiego ryzyka" — trudności technicznych, związanych z funkcjonowaniem aparatu reglamentacji dewizowej, niesumiennością importerów itp.

Wniosek jest prosty. Skoro rozdrobnienie naszego przywozu powoduje wzrost wydatku dewizowego na importowane surowce, a w dalszej konsekwencji podnosi ceny gotowych wyrobów przemysłowych na rynku krajowym, należy dążyć do jego koncentracji. Silniejsi importerzy, dysponujący większymi kontyngentami przywozowymi, potrafią uzyskać korzystniejsze ceny i warunki dostawy. W tym też kierunku szły zgodnie wnioski uczestników konferencji, domagające się zwiększenia przydziałów kontyngentowych na poszczególnych importerów oraz eliminowania jednostek słabszych i mniej odpowiedzialnych. Pod tym względem różnic nie było.

Kością niezgody stała się inna sprawa. Trzeba pamiętać, że import jest jednym z najintratniejszych zajęć w Polsce. Przywóz jest ograniczony, nie zaspakaja w całości zapotrzebowania. Powstaje w ten sposób możliwość śrubowania przez importerów cen i realizowania dodatkowych zysków w postaci tzw. renty kontyngentowej. Wielu importerów, którym przyznawane są kontyngenty przywozowe, ogranicza swą działalność do inkasowania tej renty. Nie sprowadzają oni towaru z zagranicy, a jedynie odsprzedają pozwolenia przywozu osobom, które dopiero rzeczywiście uprawnienia te wykorzystują. „Renta" jest b. poważna w wielu wypadkach. Dla pomarańcz wynosiła ona w swoim czasie 40 gr. za kg., a przecież cena detaliczna tych owoców wynosi ca 2 zł.!

Kto w wypadku importu surowców do przerobu w kraju ma te zyski realizować? Handel czy przemysł? Oczywiście tak sprawy na konferencji nie stawiano. Zastanawiano się natomiast nad tym, czy surowce z zagranicy powinien bezpośrednio sprowadzać zainteresowany przemysł, czy też należy dążyć do wzmacniania pozycji firm importowo-handlowych, które by stanowiły ogniwo pośrednie między producentem i eksporterem zagranicznym surowca z jednej strony, a przetwórcą w kraju z drugiej. Sprawa bez wątpienia ważna — skoro jednak o rencie kontyngentowej wstydliwie milczano, dyskusja sprowadzała się do kwestii, którą wyżej postawiliśmy.

Ostateczne wnioski poszły po linii kompromisowej. Samorząd handlowy i przemysłowy stanowi jedną całość organizacyjną i nie lubi uzewnętrzniać swych tajemnych rozterek. Nie bez wpływu na podobny stan rzeczy była obawa przed widmem zwiększenia ingerencji czynników państwowych w sprawy importowe. Zdaje się, że jeśli nawet można — choć z wielkim sceptycyzmem — myśleć o potanieniu importu i oszczędnościach dewizowych bez tych posunięć, to kwestia zmniejszenia rozpiętości cen wewnątrz kraju i usunięcia renty kontyngentowej bez nich nie będzie mogła być rozwiązana. A jest przecież równie ważna. Inaczej koncentracja przywozu zwiększy tylko i tak nadmierne zyski prywatnych monopolistów.

Czy znieść kartele

(aa) O tym, że uderzenie, jakie zadał kartelom pułkownik Lechnicki w swej mowie sejmowej, było celne i dotkliwe, świadczy reakcja prasy lewiatańskiej — i tej, która otwarcie do tego się przyznaje i tej, która podkreślając swą niezależność, jest z wielkim przemysłem „tajemnymi nićmi" związana. Gniew zaczepionych potentatów skierował się bezpośrednio na osobę mówcy, nie ma natomiast jak dotychczas jakiejkolwiek polemiki z argumentami merytorycznymi i zarzutami, w które obfitowało przemówienie. Oczywiście metoda znacznie łatwiejsza, choć mało „rentowna". — Nawet w najbardziej oddanym i przywiązanym czytelniku „Kuriera Polskiego" musi budzić wątpliwość!

W tej chwili idzie nam jednak o co innego. Dyskusja sejmowa wraz z podstawowym referatem posła Sikorskiego i wspomnianym przemówieniem pułk. Lechnickiego, naświetliła zdecydowanie ujemną działalność karteli dla gospodarstwa narodowego, wydobyła szereg absurdalnych i szkodliwych sytuacji przez nie wywołanych. Z ogolnego negatywnego tonu dyskusji mogłyby się narzucać wnioski, które zostały zresztą sprecyzowane w niektórych przemówieniach poselskich, że należy żądać rozwiązania karteli skoro są tak szkodliwe. Czy stanowisko takie jest słuszne i czy realizacja jego stanowiłaby postęp w porównaniu z obecnym stanem rzeczy?

Polemika z podobnym poglądem, polemika przede wszystkim teoretyczna mogłaby być niezwykle długa i zawiła. Wydaje się, że uwalnia od niej i upoważnia równocześnie do negatywnej oceny podobnych postulatów po prostu stwierdzenie, że powrót do wolnej gry konkurencyjnej jest niemożliwy. Nie tylko ze względów na wielki wstrząs gospodarczy, jaki generalny zabieg tego typu by wywołał, ale dlatego że prawo życia i prawo kapitalistycznego interesu przełamałoby ustanowione normy, dążąc do potajemnej zmowy, nieraz usprawiedliwionej choćby tym, że poza Polską istnieje inna światowa rzeczywistość gospodarcza. Z drugiej strony nowoczesne państwo musi posiadać możność oddziaływania na życie gospodarcze poprzez organizacje przemysłu.

Toteż walka z nadużyciami kartelowymi, z ich hamującym wpływem na rozwój gospodarstwa narodowego, może iść jedynie drogą ustawowego ograniczenia ich uprawnień i przekształcania na organizacje bardziej dyspozytywne i bardziej społeczne. Na zasadnicze przemiany ustrojowe i radykalne posunięcia w naszym życiu gospodarczym w tej chwili się nie zanosi, aktualna jest jedynie forma ewolucji. Nowa ustawa kartelowa idzie w tym kierunku, stanowiąc dość wszechstronny instrument, za pomocą którego można korygować działalność karteli i naprowadzać je na właściwe drogi. Jak każdy instrument, w rękach zdecydowanych zaspokoić może pokładane w niej nadzieje, — w słabych i chwiejnych zawiedzie je napewno.

KONTO P. K. O. 11.144

PRZEGLĄD PRASY

Młodzież sprowadzana na manowce

Fakt zorganizowania przez Młodzież Wszechpolską napadu na uczestników odczytu, urządzonego przez młodzież ludową na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, został ustalony ponad wszelką wątpliwość.

Charakterystyczna była mimo to reakcja lwowskiej starszyzny endeckiej na tę napaść: próbowała ona przerzucić odpowiedzialność albo na jakieś bliżej nieokreślone „nieodpowiedzialne elementy", lub nawet sugerowała myśl (prof. Głąbiński, „Wieczór Warszawski") o prowokacji... Stosunek tych kół do sprawy sprecyzowała *„Gazeta Polska" (nr. 70)* jak następuje:

„1) „Słowo Narodowe" czyli Stronnictwo Narodowe wprowadziło świadomie w błąd opinię publiczną twierdzeniem, że Młodzież Wszechpolska nie ma nic wspólnego z napadem, nie może bowiem ulegać wątpliwości, że i pismo i partia przed ujawnieniem dotychczasowych wyników śledztwa wiedziały już, gdzie szukać należy sprawców; 2) Stronnictwo Narodowe potępiło występek, o którego dokonanie oskarżona jest ekspozytura studencka tego stronnictwa — Młodzież Wszechpolska; 3) ponieważ wśród aresztowanych znajdują się młodzi ludzie, zajmujący wybitne stanowiska w hierarchii organizacji, kierowanych przez młodzież wszechpolską — upada twierdzenie „Słowa Narodowego", że z napadem nie miały nic wspólnego „odpowiedzialne" koła tej młodzieży".

Zdaniem „Gazety Polskiej" należy z wypadków lwowskich wyciągnąć jak najdalej idące konsekwencje:

„Przede wszystkim ciężko obrażone poczucie sprawiedliwości domaga się zgodnego z prawem państwowym ukarania winnych: ukarania nie tylko jako obywateli, winnych ciężkiego występku; ukarania również studentów, którzy splamili swój honor akademicki. W żadnej wyższej uczelni polskiej dla takich ludzi nie może być miejsca. Następnie, po tylu już smutnych, w ciągu lat ostatnich, doświadczeniach, opinia polska oczekuje, że obecne śledztwo doprowadzi wreszcie do ujawnienia związków, zachodzących między aktami terroru dokonywanymi przez młodzież, a czynnikami poza młodzieżą stojącymi. Te związki istnieją w poczuciu opinii polskiej, muszą być w imię interesu publicznego bezwzględnie zdemaskowane i z całą surowością potraktowane. Należy w samym korzeniu zniszczyć organizację i inicjatywę epidemii występków, a nie tylko narzędzia, i to na pewno często — ślepe i nieświadome swej istotnej roli narzędzia tych występków".

Pismo sądzi jednak, że takie proceduralne załatwienie sprawy lwowskiej nie rozwiąże zagadnienia, które jest głębsze, coraz bardziej złożone i w hierarchii trosk naszego narodowego rozwoju w Państwie coraz bardziej niepokojące. Zdaniem cytowanego pisma:

„Długotrwałe fermenty i niepokoje, zwłaszcza w uczelniach lwowskich, pouczają nader wymownie, że radykalnego i istotnego uzdrowienia stosunków szukać należy w po~ytywnym i gruntownym programie wychowania młodych pokoleń w odrodzonym Państw'e. Nie łudźmy się bowiem: Państwo ciągle jeszcze nie kieruje u nas ideałem wychowawczym tych pokoleń. Ten ideał ciągle jeszcze jest monopolem prywatnych doktryn pedagogicznych i środowisk, ustosunkowujących się niechętnie lub co najmniej biernie do aktywnej roli Poństwa w wychowaniu typu nowego Polaka, zdolnego pomnożyć i obronić najwyższe „wspólne dobro".

Wskrzeszanie sporów dzielnicowych

Poczynania separatystyczne tzw. Stronnictwa Narodowego na terenie Wielkopolski piętnuje *„Nowy Kurier"* (nr. 59) na marginesie wystąpień radnych endeckich w nowej poznańskiej Radzie Miejskiej:

„Tak nazywane przez siebie samo „Stronnictwo Narodowe", jego ludzie i prasa, używają w walce politycznej ze szczególnym upodobaniem pogardliwego określenia pod adresem obywateli z innych dzielnic Polski przybyłych i osiadłych w Wielkopolsce: wyzwiska „przybysz". Na łamach prasy endeckiej dość często spotyka się podnoszenie zarzutu, posiadającego szczególny kredyt w opinii, a sprowadzającego się do takiej dyskryminacji: „człowiek nie pochodzący z naszej dzielnicy".

W 21 roku odzyskania naszej niepodległości zjawiska tego rodzaju wyrządzają nieprawdopodobne spustoszenia w psychice narodowej.

Odpowiedzialność za szerzenie w opinii rozsadzających naszą spoistość narodową dążeń dzielnicowych ponosi całkowicie partia polityczna mieniąca się być ugrupowaniem, jak na ironię, o aspiracjach „ruchu wszechpolskiego".

Dyfamujące w opinii i obciążające niejako wytykanie pochodzenia z innej dzielnicy na łamach prasy endeckiej i w ustach działaczy tego ugrupowania dotyka tylko przeciwników politycznych. Wystarczy być zdyscyplinowanym endekiem, by grzech urodzenia w Warszawie czy Lwowie został z niegodnego czoła zmyty całkowicie, by nie był przeszkodą w ubieganiu się o to czy inne stanowisko.

Rzadko irracjonalne przesłanki wspierają te dzielnicowe narzędzia endeckiej dywersji przeciwko zdrowiu moralnemu duszy narodowej. „Swoim" jest obywatel polski urodzony w Gelsenkirchen czy w Gossen. „Przybyszem" zaś jest urodzony w Łodzi czy Lublinie. O ile oczywiście nie jest firmowanym członkiem partii endeckiej. Arcyzabawną jest kondycja kwalifikacji tego rozumowania opierająca się z jednej strony o legitymację miejsca, w którym stała czyjaś kołyska, a z drugiej o przynależność partyjną. W tych rozeznaniach nie są brane pod uwagę ani dorobek w pracy dla państwa tego, którego odsądza się od czci obywatelskiej, ani wierna służba ojczyźnie wynagrodzona najwyższymi odznaczeniami, nawet zdobytymi na polu chwały. Nie tradycja wiekowej służby tej czy innej rodziny dla Polski legitymuje do posiadania pełni praw obywatelskich, lecz miejsce urodzenia i przynależność partyjna decyduje o „endeckiej dwoistości".

W tej taktyce walki, najniższego zresztą rodzaju, tkwi uraz niewoli, obnażający krzywdę wyrządzoną duszy polskiej w okresie zaborów. Krzywdę, której wyplenienie doszczętne jest najwyższym obowiązkiem pokolenia obecnego. Tolerowanie dalsze tego urazu może przynieść nieobliczalne szkody zdrowiu moralnemu narodu".

Pismo występuje w związku z tym z następującymi wnioskami:

„Obóz Zjednoczenia Narodowego, faktycznie jedyna organizacja wszechpolska w kraju, winien zrobić wszystko co leży w jego mocy, by dalsza deprawacja duszy polskiej szerzona przez S. N. dzięki odradzaniu sporów i walk dzielnicowych zniknęła z naszego życia bezpowrotnie.

Jeżeli nacisk opinii nie jest w możności przerwać tego działania na szkodę Polski, winny się znaleźć środki, które z mocy ustawy pozwolą ścigać tych, którzy, pogłębiając sztucznie rozdźwięki między obywatelami w różnych dzielnicach kraju urodzonymi, działają na szkodę interesów Wielkiej Polski".

Technicy lwowscy, gen. Franco i magazyn broni

Walne Zebranie Bratniej Pomocy Studentów Politechniki Lwowskiej uchwaliło wysłać do gen. Franco depeszę treści następującej:

„Pan Minister Seyrat Valera, W-wa, 6 sierpnia l. 12.

Prosimy przesłać Bohaterowi Narodowej Hiszpanii Jego Ekscelencji Generałowi Franco wyrazy naszej szczerej radości z powodu ostatnich zwycięstw wojsk narodowych nad siłami barbarzyńskiej czerwonej międzynarodówki.

Z pełną wiarą w siłę hiszpańskiego narodu oczekujemy dnia ostatecznego triumfu jego.

Serca młodzieży polskiej biją zgodnym rytmem podziwu i miłości dla bohaterskiego narodu hiszpańskiego. — Niech żyje narodowa i wierna krzyżowi Hiszpania.

Walne Zgromadzenie Tow. Bratnia Pomoc Stud. Pol. Lw.".

Dziennik Lwowski (nr. 69) dodaje do powyższego następujący komentarz:

„Fakt ten należy zanotować i podkreślić z dwóch powodów:

1) Nie słyszy się, ani nie czyta w sprawozdaniach z wieców i zebrań akademickich o wysyłaniu depesz do Wodza Armii polskiej, mimo, że właśnie ze strony Armii młodzież akademicka spotyka się z najdalej posuniętą życzliwością.

2) Depesza do gen. Franco, wysłana przez Walne Zgromadzenie organizacji samopomocowej, jest dowodem, że sfery lwowskiej Młodzieży Wszechpolskiej, które rządzą Bratnią Pomocą na Politechnice, są zwolennikami „międzynarodowego nacjonalizmu"

Gdy na temat międzynarodówki nacjonalistycznej toczyła się w prasie warszawskiej dyskusja, wówczas prasa endecka kategorycznie zaprzeczała podobnym tendencjom polskiego nacjonalizmu. Okazuje się jednak, że w lwowskim środowisku wszechpolskim międzynarodówka nacjonalistyczna jest bardzo modna.

Jeszcze jeden dowód zwyrodnienia myślowego tzw. polskiego obozu narodowego".

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Żórawia 7 m. 30, tel. 809-20. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Zagranicą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rachunek 771, lub 2) blankietem nadawczym P. K. O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.
CENY OGŁOSZEŃ: 1 strona 600 zł., 1/2 strony 300 zł., 1/4 strony 160 zł., 1/8 strony 80 zł., 1/16 strony 50 zł. W tekście o 50% drożej.
Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10—11, środy godz. 17—18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10—14.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Redaktor odpowiedzialny: Janusz Koreywo

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.